

BLISZCZ

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Kto tworzy postęp

Że życie nie jest stałą — niezmienną, zauważa najbardziej nawet prymitywny badacz. Prawem i istotą życia jest ciągła zmiana, przeobrażenie, ruch. Popularne określenia literackie, jak: „źródło życia“, „fala życia“, „puls życia“, których wspólną ośnowę stanowi pojęcie ruchu, dowodzą, jak bardzo człowiek żył się z tą oczywistą prawdą.

Niejednokrotnie jednak spotykamy się z chęcią „zatrzymania prądu życia“, czy to przez pewne narody, czy klasy, czy partje, jeżeli chodzi o formę bytu państwowego, czy też przez pewne jednostki, gdy chodzi o czyjeś indywidualne życie. Konserwatyzm, ale ten zacofany, skrajny, wysoce aktywny konserwatyzm, jest dowodem, iż „prawo zmienności“ życia nie tkwi jednak mocno w umysłach wszystkich ludzi.

Zmienność form życia w dziedzinie ustroju, sztuki, wiedzy, techniki i t. p. określamy postępem. A więc istotą postępu jest znów ruch. Ale nie ruch dowolny, nie zmienność byle jaka. W wyrazie „postęp“ zamykamy pojęcie ruchu „wzwyż“, dążenia ku lepszemu, doskonalenia się. Inna zupełnie kwestja, że niejednokrotnie linja życia narodów łamie się, że wykres postępu daje linje krzywe, łamane.

Postęp jako *stała poprawa* jest ideałem, nieraz, najczęściej, sprzecznym z faktami. Postęp jako *zmiana* dotychczasowego jest nieubłagany fakt, dla jednych wymarzonem, dla drugich przeklętym, ale nieuchronnym.

Zmiana ta zachodzi czasem szybko, z dnia na dzień. Jest to droga rewolucji. Zdobycze rewolucji są krótkotrwałe, jeżeli nie utrwali ich późniejsze uzyskanie perspektywy, wyszukanie stałego gruntu i ewolucyjne utrwalenie zdobyczy.

Czy drogą rewolucji, która po zwycięstwie cofa się i wkracza w formy żmudnych, powolnych odmian, czy drogą ewolucji — zmiany postępują i nie są podobne w skutkach do ideałów i planów reformatorów.

Dlaczego? Bo żadna idea nie może tworzyć postępu bez współdziałania innych, znajdujących się w czasie i przestrzeni. Natoby trzeba bardzo selektywnych aparatów odbiorczych, a Historia, Naród, czy wręcz indywidualny umysł ludzki nie są odbiornikami selektywnymi. I dzięki Bogu. Bo historia toczyłaby się skokami, jakimi normalne społeczeństwo i normalny człowiek chadzać nie może bez obawy skręcenia sobie karku. Przeszłość musi się wiązać poprzez chwilę obecną z przyszłością w sposób logiczny i życiowo możliwy.

Postęp jest zatem zawsze *wypadkową sił* działających w społeczeństwie. To nie, że jedna siła przeważa, że jakaś idea ostatecznie zwycięży i da ową zmianę. Ta zwycięska idea została dużo złagodzona, okrojona, poprostu przygotowana do skonsumowania i wchłonięcia dzięki działaniu idei ubocznych. Jest to zwykły bieg rzeczy na wszystkich odcinkach życia, a więc: polityki, życia gospodarczego i t. d.

Gdy lat temu kilkanaście półki księgarskie zarzucono poezją futurystów — jedni się śmieli, drudzy... gniewali. Futuryzm nie przyjął się, był rewolucyjnym skokiem, nie miał trwałego gruntu, a jedyną odskocznią była tęsknota do nowych form. Ale narodziła się nowa poezja, piękna, nowoczesna i święci triumfy. Gdyby nie było futuryzmu, który się okazał „niestrawny“, nie byłoby tej poezji, która nas zachwyca.

W tym samym czasie w plastyce zauważono

również podobne objawy. Przeminięły. Mamy dziś nową rzeźbę i nowe malarstwo, na tem podłożu wyrosłe. A sztuka dekoracyjna czerpie do dziś natchnienie z „chorej“ wyobraźni ówczesnych malarzy.

Twórcze znaczenie tak zwanej „opozycji“ jest znane i w dziedzinie polityki, gdyż niweluje i wpływa łagodząco na wszelkie poczynania i reformy. Są to nożyce, obcinające kanty, lub szmergiel, polewająca nierówności. „Opozycja“ bierze zatem udział twórczy w życiu państwowym (pod jednym warunkiem: o ile nie jest „opozycją“ dla samej opozycji, dla zasady).

Do zagadnienia postępu możnaby podejść jeszcze z jednego może najciekawszego punktu patrzenia. Od strony współpracy pokoleń, żyjących w jednym czasie. Współżyją zasadniczo trzy pokolenia, nie licząc dzieci: młodzież, pokolenie „u steru“ — dojrzałe i pokolenie ludzi starych, ustępujących. Zazwyczaj przejawia się wartości twórcze i energetyczne młodzieży, pomija się trud ludzi dojrzałych i pogardza się bezsilną starością. I mówi się, że młodzież tworzy postęp, ludzie dojrzały to materiał na rzeź dla nowych idei, a ludzie starzy — to balast i kula u nogi postępu.

Jeżeli jednak podejść do zagadnienia *postępu jako wypadkowej różnych sił*, wówczas przyznamy każdemu pokoleniu odpowiednie miejsce i współczesne znaczenie dla rozwoju wypadków. Bo zmiany, które przygotowuje bujny i siłę rozpędową czerpiący w braku doświadczenia życiowego temperament młodzieży, zrealizuje dopiero pokolenie dojrzałe (może to będzie ta sama młodzież... za lat kilkanaście), a oszlifuje je przedtem i złagodzi smutnem doświadczeniem pokolenie ludzi odchodzących.

Gdyby zrobić społeczną próbę wychowania dzieci i młodzieży bez współdziałania i współżycia z pokoleniem starszem, jednocześnie wszystkich starców eliminując z życia rodzinnego i społecznego — i dopuścić to nowe pokolenie do władzy — działaby się rzeczy niezawodnie ciekawe, lecz równie niezawodnie bolesne w skutkach. Siła młodości jest *niezmyk-*

ważnym motorem postępu, ale bez współpracy ludzi dojrzałych i starych stałaby się siłą *niebezpieczną*. Piękno starości to ta cicha współpraca. I dobrem jest, gdy spotykamy ludzi starych gdzieś u szczytu, w organizacjach czy w rodzinach. To nam zapewnia *ważne przenikanie wartości pokoleń*. To nam daje ciągłość państwowego i rodzinnego stawania się bez przeskoków, bez szusów.

Gdy kilka miesięcy temu na łamach „Bluszczu“ toczyła się dyskusja na temat roli ludzi starych, mówiło się o tych lub innych walorach i przywarach, o obowiązku wobec starszych, o szacunku dla ich trudów i lat...

Przedewszystkiem należy dać starcom miejsce w społeczeństwie i miejsce to uznać za *ważne* nie dlatego, że oni je zajęli, ale dlatego, że *ono samo ze siebie jest ważne*. I właśnie dlatego myśmy je im przeznaczyli. Jest to miejsce, które gwarantuje równowagę rozlicznych sił w społeczeństwie.

Starcy są potrzebni. Oni, żyjąc i współpracując, łączą przeszłość z przyszłością, biorą czynny udział w pracach nad postępowaniem, choćby nie wykroczyli za ramy życia rodzinnego. Oni tworzą życie wraz z młodymi tak, jak zdrowa „opozycja“ bierze udział w twórczych poczynaniach ludzi u władzy. I to miejsce należy się im nie z litości, czy szacunku dla wieku, a z poczucia potrzeby dla korzystnego rozłożenia sił w narodzie.

Tak poszczególne pokolenia, jak klasy i społeczeństwa, muszą każdy swoje spełnić, muszą wspólnie radzić i wspólnie popychać taczkę historii.

A postęp będzie istotnie „wstępowaniem wzwyż“, gdy każdy (pokolenia, klasy, narody) będzie się czuł potrzebnym i będzie *w poczuciu swem* komórką twórczą i... o ile wszyscy ukochają ponad *inne istotne* interesy — Interes Wspólny.

Takie ujęcie sprawy ma jedną stronę dolegliwą: odpowiedzialność za wszystko spada na wszystkich. Nie każdy to lubi. Ale to jest uczciwą konsekwencją.

Zofja Dzieciolowska-Brykalska.

Ludzie, których spotykam

Czytałam w jednym z pism artykuł o nadmiarze inteligencji. Suche liczby statystyki mają wymowę większą od najbardziej płomienistych słów: „...w 1931 r. w zawodzie lekarskim w Niemczech na 1100 wolnych stanowisk przypadło 1700 kandydatów. W Austrii na 150 — 350, we Francji na 500 — około 1.000, w Szwajcarji na 80 — 150, w Jugosławji na 200 — 350. W Polsce podobno około 70 proc. wolno praktykujących lekarzy w większych miastach nie zarabia nawet na skromne utrzymanie, odpowiadające minimalnemu poziomowi życia pra-

cownika intelektualnego, choć jednocześnie 70 proc. ludności kraju nieobjętych jest opieką lekarską“ i t. d.

—o—

Na „czeskiej stronie“ pod Muranem jest mała leśniczówka. Nazywa się Galejdówka, lub wprost „u Juraszka“. Niema narciarza, któryby przechodząc szlakiem Jaworzyna Kopa, Chata Wotrubowa, nie wstąpił do Juraszka napić się mleka, lub nawet przénocować. W leśniczówce mieszkają dwie rodziny: Słowacy — leśnik, jeszcze młody człowiek, żona i 5-ro dzieci. I

Niemcy — drugi leśnik, duży stary brodaty mężczyzna, w zielonem akamitnem ubraniu typowego myśliwego z oleodruków, żona — gruba Niemka, córka i dwóch synów. Te dwie rodziny, to dwa światy: pełen dawnej godności, ale już tracący pewność siebie świat niemiecki i biedny, ale wierzący we własne siły świat Słowaków, ludzi należących dopiero do przyszłości.

U Juraszka — u Słowaków jest czysto. Piję zimne mleko, jem kwaśny chleb. Chwałę chleb i mleko, chwałę czystość. Kobieta Juraszkowa rozpromienia się. Wyczuwa zro-



PIXAVON

jest to pierwszorzędny środek do pielęgnowania włosów
Shampooon Pixavon zawiera te same niedoścignio-
nej jakości składniki co płyn Pixavon.
Włosy dają się łatwo układać, Pixavon
przywraca im naturalny połysk, zapobiega
wypadaniu włosów i tworzeniu się łupieżu



zumienie jej wysiłków i zażenowa-
na chwali się, że to ona sama
wszystko robi, że nikogo nie ma do
pomocy, że czworo dzieci w szko-
le, a wszystkie czysto i cało ubra-
ne, że nauczycielka codziennie do-
kładnie oglądająca każde dziecko
nigdy jeszcze nie miała nic do za-
rzucenia jej dzieciom. A żadna z
matek nie ma jednocześnie aż
czworga dzieci w szkole. I jakich
dzieci! — Juraszkowa pokazuje
piękne młode zęby w uśmiechu. —
Najstarsza ma 10 lat, najmłodszy 5,
a wszystkie jeżdżą na nartach do
Jaworzyny do szkoły. I robią te
wszystkie krystjanje i telemarki. A
jak się uczą dobrze! Największą
chęć do nauki mają te dwie najstar-
sze dziewczyny. Właśnie kończą
szkołę w Jaworzynie i chcą ko-
niecznie uczyć się dalej. A dalej
posyłać na naukę nie będzie pienie-
dzy. A tak chcą się uczyć! Oczy ko-
biety napęnlają się smutkiem.
Twarz bez uśmiechu staje się sta-
ra i sterana. Patrzy długą chwilę
przez małe okienko na szczyt Mu-
rania, złotego w słońcu.

Staram się ją jakoś pocieszyć.
Znajduję tylko wytarte słowa, że
może czasy się zmienia! Że zresztą
inteligencji też nie jest dobrze. Że
czasami lepiej może być zwykłą
szwaczką, lub piekarzem, niż wy-
kształconym urzędnikiem. Że ot,
choćby najbliższy przykład —
schronisko w Zielonym Plessie, z
którego właśnie wracam. Dzierża-
wi je dwu młodych ludzi — dy-
plomowany inżynier i student
Wyższej Szkoły Handlowej w Wie-
dniu. Zna ich, nieprawdaż? Uczyli
się tyle lat. Tyle wysiłku to koszt-
owało, tyle pieniędzy i tyle czasu
zabrało. I teraz co? — Dzierżawcy
schroniska. Był kelner mógłby ta-
ką rzecz poprowadzić.

Kobieta słucha, potakuje, wzdy-
cha. Jest jakby przekonana. Ale
coś jest w niej, co nie wierzy. Coś,
co czuje fałsz w moim rozumowa-
niu. Plącę i uciekam na świeżo prze-
tarty szlak narciarski.

— To wszystko kłamstwo! — wo-
łam do mego towarzysza. Wstydę
się moich słów! Nie chodzi o to, że
są nam równi, pomimo że nawet u-

slugują na równi ze służbą. Chodzi
o to, że są tacy sami, jak my. Żad-
na praca nie hańbi. Nie hańbi też,
ale dzieli przepaścią niezgłębianą
brak wykształcenia i kultury. O to
chodziło tej kobiecie. O to, że dzie-
ci są zdolne, że są w stanie zaab-
sorować wiedzę. Być jak wszyscy
„panowie”. Mądrzy i wrażliwi. I, że
na to nie ma pieniędzy... Nie na ła-
twy chleb, ale na osiągnięcie inne-
go poziomu. Wydrzeć się z klasy
niewolników. Niech tam, pracować
najciężej, jak pracuje ten inżynier
i ekonomista w górach w Zielonym
Plessie, ale móc mówić z ludźmi, co
do nich przychodzą, o wszystkim.
Wiedzieć wszystko. Rozumieć, prze-
stać być „chamem”.

Chamstwo. Oto słowo, które wi-
si nad naszą ojczyzną. W kraju,
gdzie istnieje analfabetyzm, nie-
stety istnieje też obawa o nadmiar
inteligencji. Są ludzie, którzy uwa-
żają, że nie warto się uczyć, bo i
tak niema posad. Pogląd ten staje
się coraz bardziej popularny. Trze-
ba nagwałt zwalczać go, wykazy-
wać wszystkie błędy tego rozumo-
wania. Nie uczyć się, bo i tak nie
dostanie się pracy. Więc nie warto
mieć uniwersyteckiego wykształ-
cenia. Więc lepiej być kandydatem
na urzędniczką po ukończeniu 6-ciu
klas. Ale czy dla wszystkich gryzi-
piórków są wolne posady? Przecież
nie. Więc szkoda czasu i pieniędzy
kończyć 6 klas. Może więc szkołę
powszechną i jakieś kursy i zostać
wykwalifikowanym robotnikiem?
Majster nieźle zarabia. Ale ci też są
bezrobotni. Tych jest tysiące. Więc
wogóle nie uczyć się! Bo przecież
poco, jeżeli zato nie dostanie się
odpowiedniej pracy?

Jest to rozumowanie materjali-
sty, dla którego kultura i wiedza
nie są dobrem najwyższym, ale dro-
gą do kariery. Takiemu nie przyjd-
zie do głowy, że szwaczka z wy-
kształceniem będzie miała więcej
gustu, że malarz pokojowy z wy-
kształceniem zrozumie odrazu, o co
chodzi architektowi i wykona zamów-
ienie w odpowiedni sposób. Że rolnik
z wykształceniem wydobędzie
więcej płodów z ziemi. Że ci
wszyscy ludzie z wykształceniem,

którzy „zmarnowali” czas na nau-
kę (i bez niej przecież można wy-
konywać te ich zajęcia), prędzej i
lepiej podolają swojej pracy, a
jakżeż inaczej spędzą czas wolny!
Nawet przy największym kryzysie
i braku pieniędzy różnice będą ko-
losalne. Wszak są darmowe czytel-
nie! Wszak są ulgowe bilety na
koncerty i do teatrów. Nie ceną róż-
nią się książki. Ale o tem pisać nie
trzeba. To każdy rozumie.

Nie rozumnie jest bać się nad-
miaru inteligencji, jakgdyby bez-
robocie groziło tylko ludziom wy-
kształconym. Jest to pocieszające
dla rzesz, upośledzonych brakiem
wykształcenia, że bieda wszystkim
ludziom w oczy zagłada.

Państwo robi wiele, by podnieść
minimum wiedzy, jakie dostanie
każde dziecko. A więc chce pod-
nieść ogólny poziom kultury. Jeśli
ludzie samorzutnie i za własne pie-
niądze pchają się na ławy wyż-
szych szkół, co za głupota odstra-
szać ich od tego, lub wbijać w gło-
wy, że po skończeniu nie wypada
wziąć się do pracy, która nie wy-
maga znajomości kultury historii
greckiej. Szłam wzburzona drogą
przez zwierzyniec — ochraniały las
pod Jaworzyną.

Tym razem nie widziałam pię-
na, jakie mnie otaczało, choć słoń-
ce świeciło i cudnie musiało zała-
mywać się w kryształach mroźne-
go śniegu, pokrywającego las i gó-
ry. Myślałam o tem, że nie miałam
nie do powiedzenia Juraszkowej.
Nie miałam nie też do powiedzenia
i tej drugiej, córce leśnika Niem-
ca. Ale to już inna sprawa. Jurasz-
kowa mi to opowiedziała jeszcze za
pierwszą moją bytnością, kiedy
szłam w przeciwną stronę. Córka
Niemca będzie miała dziecko. Po-
szła do fabryki do Jaworzyny i tam
się jej to przytrafiło. Rodzice nie
ustrzegli. (Pomyślałam o srogich
brwiach leśnika Niemca i westchnę-
łam). „Zrobił jej to dziecko taki
młody chłopak, co teraz służy w
Zielonym Plessie. Ale nic mu pro-
szę nie mówić, bo on nie lubi o tem
słyszeć i nie przyznaje się do oj-
costwa”.

Widziałam tego młodego brune-

chłopak. Rozmawiałam z nim kilka razy. Skarżył się, że tu słońca nie ma przez kilka miesięcy. Góry otaczają naokoło staw i schronisko. 200 metrów dalej już jest słońce, a tu zajrzy dopiero 24 lutego na kilka minut. Ale w marcu już będzie świeciło przez 2 godziny. Nie może doczekać się lata. Miły chłopak, prawda? Mówił, że chce się stąd wydostać, że mu za ciężko. Tyle pracy i na nartach trzeba nosić paki przez góry. Mój towarzysz zgryźliwie zapytał się go, czy się chce żenić? „Ja?! Przecież ja jeszcze dziecko jestem! Mam 21 lat!” Ładne dziecko, pomyślałam sobie, co ma już własne i straciłam do niego całą sympatię.

Na powrotnej drodze zobaczyłam tę jego dziewczynę — córkę Niemca. Wyszła na werandę, na której siedzieliśmy, i zaraz się cofnęła. Potem wyszła drugi raz w długim fartuchu, który zakrywał jej piersi i brzuch. Chciała ukryć swój stan. Ale i tak był widoczny, taka była smukła i szczupła, tylko jej ten nieszczęśliwy brzuszec wystawał. Miała śliczne, duże szare oczy. Były okropnie wystraszone. wyniosła na słońce klatkę z kanarkiem. Obok przeszedł jej duży, nachmurzony ojciec. Dziewczyna skurczyła się cała. Aż mię poderwało. — Ładna sprawa, — pomyślałam sobie. — Chciałam jej jakoś pomóc. Coś powiedzieć? Co? Żeby

się nie martwiła? Że dziecko, to szczęście? Że błogosławieństwo Boże? Że owoc miłości? — Ona wie jedno — wstyd i jeszcze jedna gęba do karmienia rodzicom. A potem kto da na szkołę? A co z nią się stanie? Taka ładna dziewczyna mogła dobrze wyjść za mąż.

Zdołałam się tylko na uśmiech. Odwzajemniła mi się cichym, zaleknionym uśmiechem, podobnym raczej do skrzywienia. Obok stanęła Juraszkowa z dzieckiem na ręce. Zaczęła coś mówić „mój mąż... dziewczyna zabrała klatkę z kanarkiem i wyszła. Niedługo i ja odjechałam.

Halina Bormanowa.

Wiosna niezawodna

*Stoją drzewa bezszmerne,
jak we śnie.
Tak zielono jest,
tak leśnie.
Gałąź czasem opadnie,
dzieciół zastuka.
Taka mielka i prosta
plynie z tego nauka.
Spokój pramie jest uchmytny
i też plynie*

*w tej brzoźowej,
sosnowej godzinie.
Zle, jak w bajce,
gdzieś za las ucieka,
serce słodycz napelnia,
jak pasiekę.
Nagle przychodzi wiosna,
żał ścisza białą dłońią
i mówi, że jest oto,
pocoż było martwić się o nią...*
Lucyna Krzemieniecka.



Wiosna w lesie.

(Fot. Poddębski).

Aby wyrównać zaległości w terminach okazywania się numerów „Bluszczu” spowodowane strajkiem drukarskim w zakładach graficznych Tow. Wydawniczego „Bluszcz”, zmuszeni jesteśmy numer bieżący dać jako podwójny 16 i 17 jednocześnie, powiększony o 8 kolumn tekstu.

Następny Nr. 18 wyidzie w terminie normalnym i będzie również powiększony.

Nieumyślna cnota

4)

Bo przecież, gdyby jej przeszkadzali, toby zamknęła drzwi, których uchylenia tymczasem mogła nie zauważyć, i takby im było przykro!

— Zrobiła pani ogromne postępy od czasu, kiedy panią ostatni raz słyszałem.

— Ślicznie, ślicznie! — mówi Próchnikowa, całując Adelcię mocno w czoło.

Adelcia nie jest pewna, czy to naprawdę jest tak ślicznie, ale sam fakt tego bezkrytycznego oddania i uwielbienia jest znowu jak nie można bardziej pocieszający.

— No, ale teraz ona się musi przebrać — komenderuje dziadzio — nie trzeba jej męczyć.

Dobry staruszek! On najlepiej wie, czego potrzeba takiej młodej dziewczynie. A może dlatego było tu tak przyjemnie: tak wyglądało zawsze, jakby nikt tutaj nie miał żadnych własnych, przykrych spraw (podatków, kłótni ze służbą i z urzędnikami w urzędach, gdzie się coś chce załatwić), a tylko jak najżywiej żyli wszyscy adelcinemi. Te były dla nich najważniejsze.

— Może ci pomóc wyjąć rzeczy?

Sukienka była naturalnie dawno wyjęta, ale okazuje się, że i nawet odrazu uprasowana przez Dorkę, najbardziej oddane z domowych stworzeń. Wisiała w szafie na ramiączku, oddzielona od rzeczy pani Próchnikowej prześcieradłem, żeby się czasem nie zgniotła.

Pani Próchnikowa z widoczną przyjemnością dotykała ślicznej adelcinej sukienki.

— A jakie masz pantofelki? Co za śliczne nóżki!

Takie chude?

Wszystko było, okazuje się, śliczne w życzliwych oczach. Więc tylko tego potrzeba! A odrazu świat wydaje się przyjemniejszy, prawie możliwy do życia. Adelcia niezupełnie wprawdzie wierzy, ale może właśnie myliła się dotychczas, oceniając siebie tak nisko? Ostatecznie rozumie to dobrze, wszystko jest tylko kwestją atmosfery, śro-

dowiska, w które się trafi. W jednym jest się gwiazdą, w innym pyłeczkiem. To samo jest przecież nawet z prawdziwymi gwiazdami, wszystko kwestja oddalenia, teleskopu czy czego tam. Kiedy Adelci przyszło to porównanie na myśl, poczuła się rześwieższą. Czemuż dotychczas sądziła siebie tak surowo?

— Czy to takie pantofelki teraz noszą?

Tak, noszono właśnie takie, bez pasków.

— A ojciec?

— Tak, i na to musiała przyjść pora. Adelcia odpowiada ze znużeniem:

— To wszystko jest bez zmiany.

— Wyobrażam sobie, jaki to musiał być cios dla niego.

Adelcia długo myśli, potem odpowiada z wahaniem:

— Ja nie wiem.

Próchnikowa bez słów patrzy na nią w niemem zdumieniu. Jest tak zdziwiona, że długi czas nie może słowa przemówić. Potem podnosi brwi i jednocześnie spuszcza powieki. Adelcia wie, że już więcej o nic się nie zapyta, i będzie się dotąd w samotności dziwić, aż zrozumie. Może zrozumie, jeżeli to ktośkolwiek potrafi zrozumieć. A raczej nie, poczuje, że tak można, bo przecież nie trzeba zapominać, że Próchnikowa więcej czuje, niż myśli. Ale to jest w porządku.

— No, nie martw się przed samym koncertem. Czy będziesz coś jadła?

— Za nic w świecie! Przecież pójdziemy potem na hulankę, prawda?

Próchnikowa pomysłowała znowu chwilę, a potem dodała:

— I zawsze ze swoim pieskiem, prawda?

Adelcia w milczeniu skinęła głową.

— Prawa brew grubsza, a lewa cieńsza.

Wszystko trzeba było bardzo starannie poprawić i przejrzeć w małym, ręcznym lusterku i w dużym lustrze, nadzwyczaj celowo oświe-

tlonem dwoma kinkietami. Poziome linje na wargach, zawsze trochę szare, czy sine, kto to takie malował, Holbein, wogóle jacyś Niemcy. Wszystko dostrzegli, o wszystkim opowiedzieli. Czy to było naprawdę ładne? Poprostu plotkarstwo, nic więcej. Hans Holbein, to znaczy Jan. Jaką ty masz dziecinną buzię!

— Pierwsza zmarszczka. A tutaj pierwszy siwy włos.

— Skądże się wziął? W twoim wieku! Pamiętasz, co powiedziała ta aktorka: „les cheveux blancs qu'on peut compter ne comptent pas”.

— Zawsze mnie tak bawiła nazwa melba. Inaczejby się o niej zapomniało.

Nie, pani Próchnikowa wierzyła w posłannictwo sztuki, a nawet w historję sztuki, i w historję wogóle. Ktoś pamięta, ktoś spisuje, nie nie może przepaść.

— To zresztą była inna, nie wiem kto.

— Ja także nie pamiętam.

Po jednej zostały lody, po drugiej powiedzenie takie sobie, nawet nie dowcipne, lody lepsze. Muszka? Ach, znowu będzie wszystko ślicznie.

— Moja Dorciu, czego ty się ciągle tłumisz i tylko przeszkadzasz.

W domu już czekał list zaadresowany do panny Adeli, list z Norwegji.

— Karolina przyjeżdża. Jak tatuś myśli, czy powiedzieć o tem mamusi?

Tak, to teraz było ważne, ale proporcjonalnie do swojej ważności trudne do rozstrzygnięcia. Może ją to zanedbato zdenerwuje?

— Nie można powiedzieć, żeby ta dziewczyna miała zanedbato rozwinięte uczucia rodzinne — powiedział ojciec — zdaje się, że przez cały rok przysłała matce dwie pocztówki i to każda z innej kuli ziemskiej.

— No, to przecież nie dowodzi tego, o czem tatuś mówi.

Musieli się oboje rozeźmiać. A przekąs był poprostu dlatego, że zazdrościł tej Karolinie, której w

wcale nie znalazł, swobodnych, dalekich podróży.

— Nie mogę w to uwierzyć, żeby ona, która tyle się najeżdżała, była o sześć lat ode mnie młodsza. To przecież zupełnie nieprzyzwoicie, jak ja teraz będę wyglądać?

Ojciec zupełnie swobodnie i jak rzecz w świecie najnaturalniejszą zaproponował, żeby przygotować Karolinie łóżko w pokoju Adelci.

— Jeżeli jest taka samodzielna, to może będzie wolała zamieszkać w hotelu?

— Głupstwa pleciesz. Młoda dziewczyna przyjeżdża do matki i miałaby sama mieszkać?

Więc Adelcia wcale się już nie zapytała, co ta Karolina będzie jadła. No, trudno, zacierki na wodzie. Placki kartoflane, to placki kartoflane. Niech pozna staropolską gościnność. Nie powiedziała też wcale ojcu, że w gruncie rzeczy strasznie się do Karoliny paliła, że poprostu umierała z ciekawości, żeby się dowiedzieć, jaka też ona jest, że chciała ją bardzo kochać, że marzyła, żeby się z nią zaprzyjaźnić, zyskać jej zaufanie. Coś ciągnęło ją do tej nieznanej siostry? No tak, siostry, na pół — siostry, a odpychało ją to, że będzie ktoś nowy do kochania, do interesowania się nim, może do ulegania mu. To wszystko, co dotąd o Karolinie słyszała, nie było sympatyczne w gruncie rzeczy. Adela nie przyznawała się do tego, że wolałaby naprawdę kochać jakieś biedne, zasmuczone stworzenie, potrzebujące rady, czy może nawet opieki, a nie tę pyszną pannicę, ładną, bogatą, doświadczoną, nie wiadomo skąd i kiedy, rozbijającą się samotnie i wolno po szero-

kim, najszerszym świecie. Coś było wyzywającego w trybie życia, jaki prowadziła Karolina, coś prowokującego. Nie było ładnie być taką jakąś samowystarczalną wtedy, kiedy wokoło tylu rzeczy potrzebowali. A stosunek do matki. Przecież to była jej matka, więcej jej, niż Adelci. Przecież to nato, żeby móc urodzić Karolinę, pani Kercenowa opuściła swojego pierwszego męża i Adelę, przecież to właśnie przymus urodzenia Karoliny był sprawcą wszystkiego złego. To zła Karolina czekała gdzieś, w niewiadomych nikomu przestrzeniach, czy wogóle niepojętych wymiarach, i wielkim głosem wołała swojej przyszej matki, postać sceniczna poszukująca autora, tak, jakby było konieczne, żeby wogóle przychodziła na świat.

To były przyczyny dwóch rzędów, ale był i trzeci, nie, żeby lubić, lub nie lubić, ale w każdym razie przemawiający za istnieniem Karoliny. Więc może już są uregulowane kwestje spadku? Bo jakże by tak było, żeby Karolina była zupełnie niezależna materialnie, podczas kiedy jej matka, żona takiego bogacza, żyła na łasce człowieka, którego własnowolnie porzuciła. I to jeszcze w takich warunkach. Więc może przywiezie pieniądze. I wtedy byłaby też załatwiona sprawa tych zacierek na wodzie, która w przeciwnym razie będzie bardzo trudna. Mężczyźni nie znają się na gospodarstwie, więc im się zdaje zawsze, że jedna osoba więcej nic nie znaczy do stołu. Ale nie chciałabym być przy tem, co powie Rozalja.

— Rozaljo, przyjeżdża panna Karolina.

— A to skaranie boskie.

— Ale może przywiezie pieniędzy.

— A to co innego — mówi Rozalja, i dyga nisko — wtedy tak jej się uklonię.

— Ciekawam jak wygląda?

— Jak człowiek, na dwóch nogach chodzi. Ja to tam już niczego nie jestem ciekawa.

— Akurat:

Może i tak. Rozalja też ciekawa jest Karoliny. Napewno jest lepsza od Adelci. ładniejsza, wyższa. I niech Adelcia wtedy chłopca swojego pilnuje.

Matka inaczej: ostatecznie trzeba jej było powiedzieć, że córka przyjeżdża. List szedł tak długo, że ten przyjazd nastąpi zaraz, za kilka godzin prawie, z samego rana. Przyjęła to też inaczej, jak wszyscy: poprostu poszła do kuchni i stłukła cztery talerze. Tak zwyczajnie: brała je pokolei do ręki i rzucała o blachę, leżącą przed piecykiem, aż się rozleciały. Skorzystała z tego, że Rozalja poszła do piwnicy po węgiel.

— Mamusiu, co mamusia robi?

— Chciałam je schować do kredensu, ale mi wyleciały z ręki.

— Poco mamusia kłamie?

Ojciec powiedział niespokojnie:

— Mówiłem ci, że będzie podniecona.

Adelcia ze złości przesadzała wartość tych talerzy, powiedziała, że przecież były porcelanowe i że tembardziej teraz, kiedy Karolina przyjeżdża, trzeba będzie zaraz kupować nowe. Wiedziała, że robi ojcu przykrość, ale chciała go ukarać. Mimo to i tak nie dał pieniędzy na nowe, bo nie miał.

(d. c. n.).

Wanda Melcer.

Idealne domostwo

(The Ideal Home).

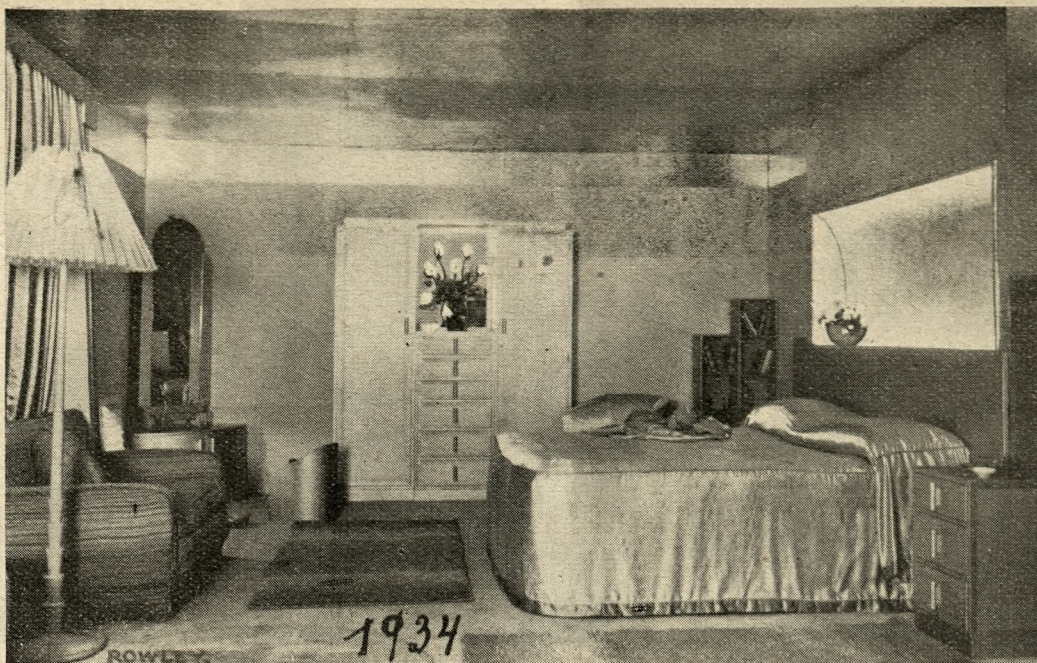
(Korespondencja rolasna).

Londyn, w kwietniu.

Kilka tysięcy ludzi pracowało dniem i nocą, na zmianę, przez cztery tygodnie, ażeby w osiemnastym roku z rzędu „Daily Mail”, londyńskie codzienne pismo, liczące dwa miliony z górą prenumeratorów, mogło z zasłużoną dumą otworzyć tę swoją wystawę na olbrzymich terenach Olimpij. Trwać ona będzie trzy tygodnie, lecz jeżeli nawet zwiedzać ją codziennie po kilka godzin, nie zdoła się zobaczyć wszystkich cudów, jakie w sobie mieści. Tegoroczna wystawa posiada nie jeden „clou”, a dwa. Pierwszym, jak zwykle, są ogrody, do

których powrócę nieco później, a drugim jest „Ulica Przyszłości”, ze swojemi dziewięcioma naturalnej wielkości willami, z których każda jest przeznaczona na jedną, niezbyt liczną rodzinę. Rzecz prosta, domki te nie są obliczone ani na stolicę, ani nawet na duże miasta, a jedynie na peryferje miast, gdzie każda pięćdziesiąta jest na wagę już nie złota, a... platyny. Następnie, obliczone na skoncentrowanie maksimum powietrza i promieni słonecznych ze wszystkich stron, muszą stać na otwartych przestrzeniach. W latach ubiegłych najslynniejsze firmy budowlane angielskie wystawiały

stałe w Olimpij swoje zmaterjalizowane od „a do z” projekty domów tego typu, łącznie z urządzeniem, ale można śmiało powiedzieć, że prześcignąć modele tegoroczne będzie rzeczą i niemożliwą i bezcelową, gdyż począwszy od koniecznego za miastem garażu, a skończywszy na wypukłych kryształowo-przezroczystych szybach, umeblowaniu, i ogólnym wyglądzie, są one idealnie pod każdym względem pomyślane. Jak zwykle w Anglii, sypialne pokoje są na piętrze. W danym wypadku znajdują się na pierwszym piętrze i jest ich trzy:



Pokój sypialny — model 1934.

dwa większe, mogące mieścić dwie osoby, i jeden mniejszy. I znowu, jak to w Anglii, w sypialniach tych niema węglowych kominków, ale ponieważ dom posiada i elektryczność i gaz, można je w razie potrzeby ogrzać.

Na dole znajduje się ładny spory hall, wiodący z jednej strony do bawialnego, a z drugiej do jadalnego, skąd drzwi prowadzą wprost do kuchni i znajdującej się tuż obok zmywalni. W nowych domach zaniechano już od dość dawna stawiania kuchni, opalanych węglem,

i są one zastępowane gazowymi kuchniami, rzadziej, (wobec kosztu prądu) kuchniami elektrycznymi.

Wystawa tegoroczna „Idealnego Domostwa” jest cała pod znakiem stali, stali niezwykle pięknej, o srebrzysto błękitnym blasku, przypominającym rzeczną toń w słoneczny dzień... A co ważniejsze jeszcze, dzięki udoskonalonemu procesowi fabrykacji, stal ta jest nierdzewiejąca i przeto nazwana słusznie „wrogiem rdzy”. Statystycznie obliczono, że zastosowana tam, gdzie dotąd było używane żelazo, cynk

i t. p. metale, oszczędza olbrzymiej pracy, gdyż nie wymaga czyszczenia, a przez to samo oszczędza miliony f. szt., i *à la longue* amortyzuje duży kapitał, jaki kosztuje instalacja.

Bo, powiedzmy odrazu, stal ta i w nieobrobionym stanie, a tem bardziej w wyrobach, jest bardzo kosztowna. (Wyjątek stanowią sheffieldzkie noże stołowe, w oprawie z kości, które kosztują obecnie już tylko po 6 pensów, t. j. po 70 gr. sztuka, nie wymagają żadnego czyszczenia i zachowują swój blask).



Pokój „ciotki Matyldy” z przed stu laty.



Nowoczesna bawialnia, pokój do pogawędek, wypoczynku i lektury.

Ta jednak kobieta, która mogłaby pozwolić sobie na wyekwipowanie całej kuchni, od stołu kuchennego o blacie stalowym do maszyny „Gloria“, która, połączona z kontaktem elektrycznym, w kilka minut wyrabia pół funta masła śmietankowego, trzy filizanki śmietanki kremowej, albo w pięć minut automatycznie ubija niezawodny majonezowy sos, i która poza częściami ze szkła jest cała ze stali, może naprawdę uważać niewdzięczny problem gotowania za jedno z najmilszych „Passe-temps“... Ale ironia życia chce, że te kobiety, które mają na takie instalacje kuchenne, mogą sobie również pozwolić na pierwszorzędną kucharkę, lub kucharkę, i normalnie często nawet nie wiedzą, gdzie się to tak ważne „laboratorium“ życia codziennego znajduje w domu... Te zaś, które wzdychają do przyrzędów, ułatwiających im pracę w kuchni, zwłaszcza zaś redukujących do minimum stałą, nigdy nie kończącą się walkę z brudem kuchennym, czyszczeniem, szorowaniem, skrobaniem naczyń kuchennych z żelaza, blachy i miedzi, te, niestety, mogą tylko wzdychać, myśląc o tych rzeczach dla nich niedostępnych.

U nas w Polsce jeszcze pół biedy, bo w bardzo nawet skromnych gospodarstwach figuruje zawsze jakaś Marysia ze wsi, która, do czego jak do czego, ale do tego rodzaju pracy ma „dług“ i jak się do zmywania i czyszczenia naczyń zabierze, to tylko Boga prosić, żeby nie zdemolowała wszystkiego od wielkiego zapalu!... Nie tak jednak przedstawia się ta kwestia w Anglii, gdzie po pierwsze służba domowa jest bardzo droga, i korzysta z przywilejów, nieznanych w innych krajach, (raz na tydzień, a

czasem dwa, mają tu służące popołudnie wolne, do nocy, poza tem, oczywiście, co drugą niedzielę), ale w dodatku służba jest tu niedbała, niesumienna, i mająca bardzo specyficzne pojęcie o czystości... Naturalnie, mówię o większości, gdyż zdarzają się również wyjątki, szczególnie wśród kobiet z tradycjami przedwojennymi... Otóż w Anglii klasa inteligentna i urzędnicza w obecnych ciężkich czasach nie może sobie pozwolić nawet na służącą do wszystkiego (to jest, jak tutaj, do niczego), i ze względu na pensję, która w danym wypadku wynosi od 80 zł. miesięcznie wzwyż i ze względu na oddzielny pokój. Mniej więcej wykwalifikowana służąca, jak pokojówka, lub kucharka, otrzymuje od 150 zł. mies., a kucharka, która poza swoim repertuarem czysto angielskim, (i tak nie skomplikowanym...) umie jeszcze zrobić dwie lub trzy „kontynentalne“ potrawy, pobiera 300—400 zł. mies., jest wielka i bez dziewczyny do pomocy, ani gadać chce!

Kobieta więc, której mąż, urzędnik, dajmy na to, zarabia koło 500 — 600 zł. mies., może najwyżej mieć posługaczkę, przychodzącą na kilka godzin dziennie, (po za niedzielą) i której się płaci 1 zł. 20 gr. za godzinę. A wtedy trzeba jej dobrze pilnować, żeby coś zrobiła, a co ważniejsze, żeby czegoś nie zabrała na pamiątkę, co jest słabą stroną tych niewiast... Przychodzą one zwykle rano, kiedy męża i dzieci niema w domu i muszą wracać do siebie w południe, żeby przygotować obiad dla rodziny, czyli że nasza gospodyni domu od tej chwili musi wszystko sama robić: iść po zakupy, przygotować dla siebie i dzieci, wracając ze szkoły, lunch, (mężowie wszelkich kategorii ja-

dają go w „City“) zmyć po lunchu, przygotować stół do „after-noon-tea“, tej wielkiej angielskiej uroczystości... Po podwieczorku trzeba naturalnie sprzątnąć wszystko i zmyć, poczem należy zająć się przygotowaniem obiadu, i aczkolwiek, jak o tem kiedyś pisałam, obiad składa się często z gotowych potraw — w puszkach, w których od zup do galaret i kremów, można znaleźć całe „menu“ — bez smaku, ale zato „bajecznie kolorowe“. Stosunkowo do świeżych produktów konserwy te są tutaj bardzo tanie. Trzeba jednak to odgrzać a głównie zmyć potem tłuste kuchenne naczynia, talerze i sztućce... Słowem, wtedy kiedy to żona i matka rodziny, zmęczona całodzienną pracą koło domu, chciałaby nareszcie usiąść, porozmawiać z mężem, posłuchać radja, czy wziąć książkę do ręki, musi zakaśać rękawy, włożyć kitel kuchenny i zabrać się do zmywania całego kramu, bo jutro od siódmej rano trzeba w maleńkiej zazwyczaj kuchence zacząć dzień od gotowania „breakfastu“, kaszy herkulo, lub innej, smażenia jajek na boczku, lub wędzonej ryby, robienia tostów, kawy, lub herbaty i to nieraz na rodzinę, składającą się z kilku osób, przeważnie śpieszących się czy to do biura, czy to do szkoły. I wtedy, obserwując taką zaharowaną „panią domu“, zaczyna się dopiero cenić należycie pracę pocciwych naszych Kaś, czy Maryś, i ich skromne wynagrodzenia...

Można więc sobie wyobrazić, że dla kobiet, o których mowa, wystawione w Olimpij instalacje wzorowych, nowoczesnych kuchni, naczyń, i przyrzędów pomocniczych z tej idealnej, nierdzewiejącej stali, wydają się marzeniem ściętej głowy... A właściwie mówiąc, — są dla

nich pomyślane... Z czasem może staną się dostępne dla wszystkich, ale narazie, niestety, tylko dla ludzi bardzo bogatych.

Poza tą dziedziną, (a i tu jest mnóstwo niedrogich i bardzo praktycznych przedmiotów kuchennych z aluminium) hasłem całej wystawy jest estetyka, celowość i higiena domostwa, a jej mottem są słowa, wypowiedziane na jednej z dawniejszych wystaw „Ideal Home” przez króla Jerzego V-go: „Podstawy narodowej chwały znajdują się w ogniskach domowych narodu”.

I powiem, że jeżeli nie należy stosować do Brytyjczyków francuskiego: „Dis-moi, ce que tu manges, je te dirai qui tu es...” — to sprawdzić istotną kulturę tego wielkiego narodu można na zasadzie ich wnętrza, tak dawniejszych, jak współczesnych. Wprawdzie nas, cudzoziemców, zawsze razić będzie prymitywny system ogrzewania olbrzymich pokoiów małymi kominami, ich pojedyncze, nigdy szczelnie nie zamykające się okna, przez które wpada wichura i stwarza zupełnie zbyteczną wentylację, ale pod każdym innym względem Anglija jest doprawdy ojczyzną komfortu... Teraz zaś, kiedy na dobre zaczął się chwiać odwieczny konserwatyzm i pojęcie, że cudzoziemcy mogą się uczyć, jak należy żyć, w Anglii już nie jest takie niewzruszone, jak dawniej, widzimy duży postęp w tym kierunku: nowe, duże domy stawia się już (!) z centralnem ogrzewaniem, i... okna są tam dopasowane!

Spójrzmy teraz na wzory nowoczesnych pokoiów, choćby na ten oto przeszliczny w swojej prostocie pokój sypialny, utrzymany w tonach srebrzysto - różowawych. Zamiast łóżek, dwa tapczany, w czasie dnia pokryte jedną narzutą. Lustro nad toaletą, na lewo (w

Przypominamy

że efekt skuteczności pielęgnowania urody uzależniony jest od indywidualnego doboru preparatu kosmetycznego do danej właściwości cery. Dostosowanie nawet pudru odłuszczonego t. j. Higienicznego Dra Lustra do tłustej, odrębnie zaś pudru egzotycznego Dra Lustra do suchej i prawidłowej cery — jest niezmiennie ważnym czynnikiem kultu piękna.

głębi) jest ruchome i może być ustawione dowolnie. W wielkiej, ze srebrzystego, naturalnego drzewa szafie, jest dosyć miejsca na ubrania pani i pana a szuflad w środku tyle i tak głębokich, że krawaty pana nigdy nie trafią do pończoszek pani...

Z tyłu nad tapczanami jest wstawiona tafla ze szkła prześwietlonego elektrycznością i zastępującego lampę. Stosownie do „momentu” można zmienić tu kolor oświetlenia: łagodne, zielone światło pozwoli pani i panu pograć się w lekturze, jeśli zechcą pogawędzić przed snem, jedno naciśnięcie i spłynie na nich różowe, pełne nastroju światło, no, a kiedy nastąpi „moment psychologiczny”... Naciśnięcie się (jeszcze raz i... zrobi się noc...

Wielkie solidne łóżko mahoniowe w „Pokoju ciotki Matyldy”, datujące z przed stu lat, nie nasuwa wcale tak frywolnych myśli, ale jako kontrast jest nieocenione. A poza tem ma w sobie jakiś sentyment. Nasze babcie i prababce miały takie właśnie toalety z owalnym, ruchomem lustrem, i dziadkowie w fater - moerderach dokoła szyi w takich siadywali fotelach przy kominku, paląc z namaszczeniem zamorskie cygaro, lub bursztynową fajkę...

Ale ich dzieci jeszcze nie miały takiego jasnego, ślicznego pokoju, gdzie jest nawet mała gazowa kuchenka, ażeby niania mogła na miejscu zagrzzać mleczko, lub zaparzyć rumianku dla „boba”... A ta niska, wygodna umywalka z zimną i gorącą wodą... A ten fotelik, na którym narazie rozpanoszył się słoń!... Dla takiego oto dzieciennego pokoju warto mieć dzidzi!... Czy nie?

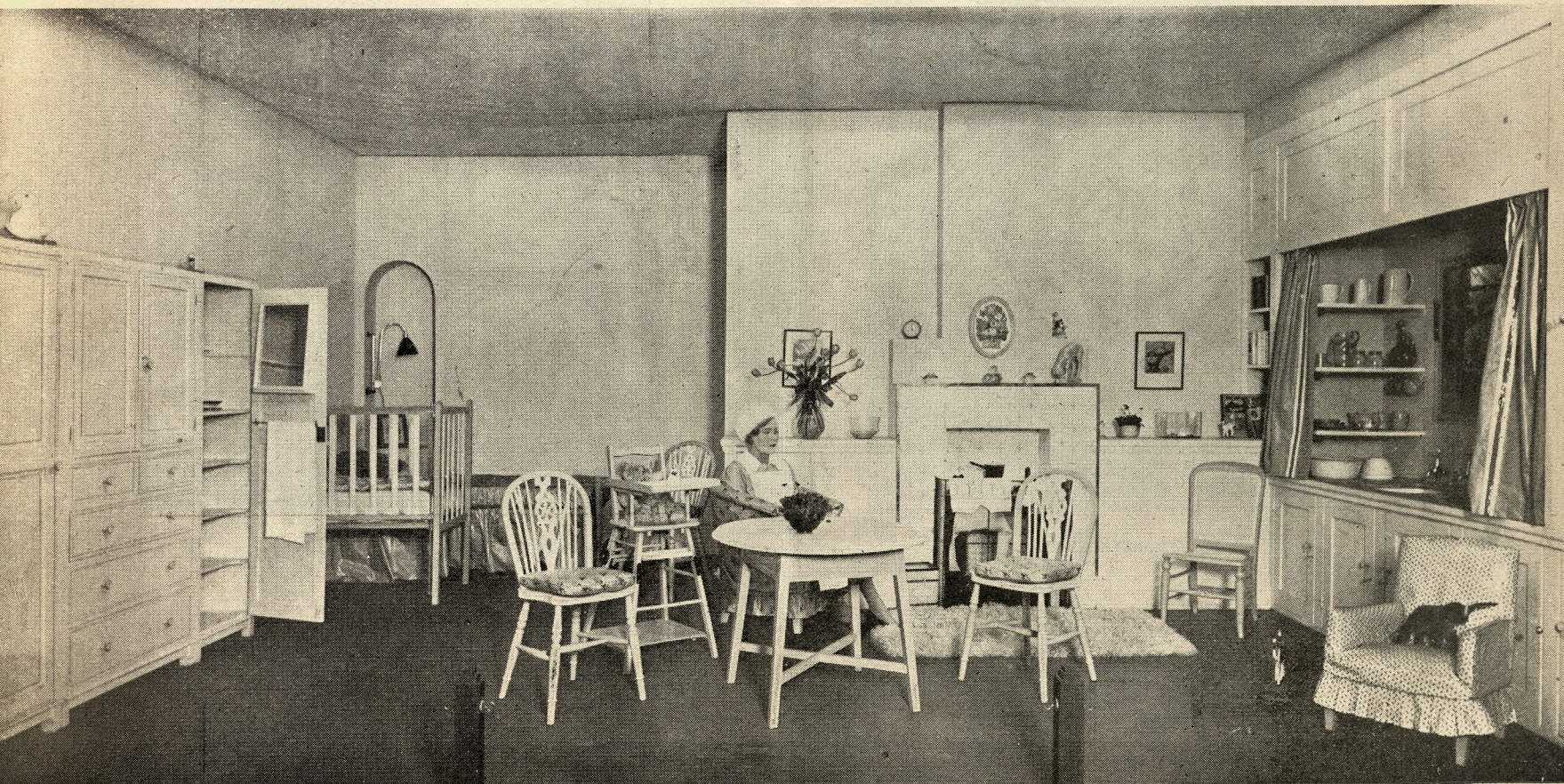
Przysyłam również zdjęcie bezpretensjonalnego, a tak mile urządzonego „jednopokojowego mieszkania”. W alkowie znajduje się tapczan-łóżko, i tam, w ścianie, niewidoczna jest mała kuchenka gazowa, gdzieindziej — zmywalnia. Śliczne jest to wnętrze, i tak tanio można je urządzić, zwłaszcza u nas, gdzie kilimy są tak cudne i niedrogie!...

Tyle miejsca poświęciłam wnętrzem, że już na łazienki, podobne do buduarów, w których marmur, lustra i nikiel grają główną rolę, że na „Ogrody Historyczne” i na „Ogrody Romantyczne” niema miejsca!...

Powiem więc o nich następnym razem, mówiąc o przepysznej rewji mód na wystawie...

Teodora Drzewiecka.

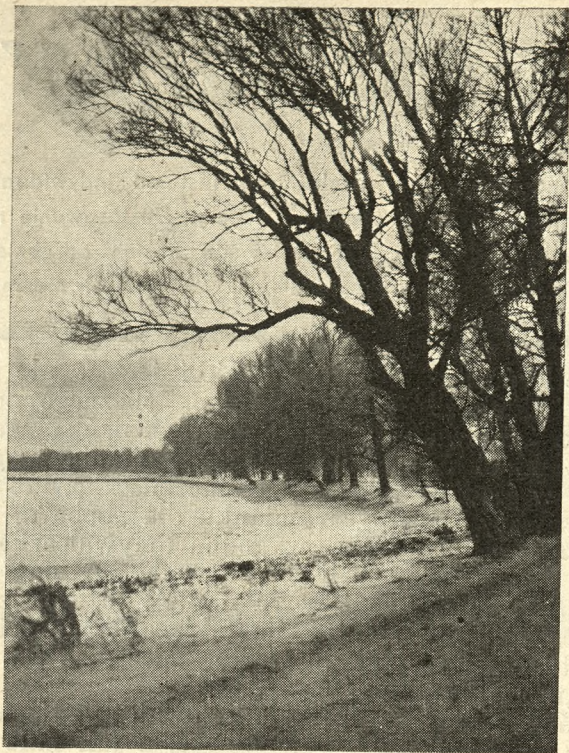
Angielskie jednopokojowe mieszkanie.



NA NIWACH

cza do autobusu, lub też przy rogate, dojechawszy do niej tramwajem, czeka się na jego przybycie.

W dniu, kiedy udawałem się do Raszyna, daleko jeszcze było do przedwiośnia. Śnieg grubą, skrzącą się warstwą pokrywał pola. Szosa, wysadzana pięknie



Staw i grobla raszyńska.

Kiedy pytałem znajomych, jak jedzie się do Raszyna, nie umiał nikt dać konkretnej odpowiedzi. „To tam” — wyjaśniali, machając ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. Mogło to być wszędzie i nigdzie. Zresztą wszystkie drogi prowadzą do Rzymu...

Ponieważ nadeszła wiosna i wraz z nią 125-ta rocznica sławnej potrzeby pod Raszynem, być może, że znajdą się czytelnicy, którzy zechcą zobaczyć raszyńskie pola i sławną groblę falencką. Dla ich wiadomości podaję, że wyprawa ta nie jest wcale taka straszna: poprostu wsiada się na placu Narutowi-



Figura na grobli raszyńskiej.

oszronionymi drzewami, zapraszała do rozwinięcia maksymalnej szybkości, lecz nasz wehikuł miał skrzydła podcięte już od chwili przyjścia na świat.



Kościółek w Raszynie.



Grobla raszyńska.

R A S Z Y N A.

Był to stateczny, magistracki autobus, a kolor jego był czerwony.

Sam Raszyn nie jest pokaźny. Kościółek, kilka domków przy nim, w pobliżu zamrożnięty staw, ale je starych drzew...



Statua, postawiona w r. 1828 ku czci poległych pod Raszynem.

— Gdzie grobla, gdzie sławna grobla? — pytałem jakichś chłopców.

— Grobla, gdzie księżę Józef bił się z Moskalami? To tu.



Przed kościołem w Raszynie.



Pomnik na miejscu śmierci Cyprjana Godebskiego.

— Z Austriakami — poprawiam surowo. Omal jestem gotów zrzedzić: „Ach, ta dzisiejsza młodzież! Jak można o tem zapomnieć!”.

— A kościół już pan oglądał? — dopytują niezrażeni.

Właśnie jest nabożeństwo i mały kościółek zatłoczony po brzegi.

Patrząc tak na kościółek i stojące opodal sanie, myślę o przeszłości Raszyń. Że to osada bardzo stara, że w swoim czasie znaleziono tu cmentarzysko przedhistoryczne, a na niem urny z popiołem. Że ten



Na grobli raszyńskiej.

kościół murowany wznosił wojewoda dorpacki, Zygmunt Opacki, w roku 1654. Późniejszy właściciel Raszyna, bankier warszawski, Piotr Tepper, kościół gruntownie odnowił i przyozdobił w r. 1790.

A potem minęło tylko lat 19, gdy Raszyn stał się sławny w dziejach Polski. Raszyn stał się symbolem naszego odrodzenia wojskowego, tu bowiem w dniu 19 kwietnia 1809 roku wojska Księstwa Warszawskiego pod wodzą księcia Pepi stawily zacięty opór przemożnym siłom austriackim.

Kampanję tegoroczną zaczęli Austriacy, uderzając odrazu w trzech kierunkach: na Włochy, Bawarię i Księstwo. Szli „szwarcgelbery“ wyzwalając Europę od Bonapartego, przyczem Księstwo po „wyzwoleniu“ miało być oddane Prusom. Wszelkie zmiany od chwili ukazania się na widowni dziejowej Napoleona miały być unicestwione, sama nazwa Księstwa wymazana z mapy Europy. Istnienie Polski w jakiegokolwiek bądź postaci zagrażało bezpieczeństwu zaborców, przeszkadzało w spokojnem strawieniu zdobytczy! 15 kwietnia VII korpus austriacki w sile 32 tysięcy ludzi przekroczył granicę Księstwa. W tym czasie cała siła, jaką rozporządzał ks. Józef, wynosiła około 11 tys. żołnierzy, w tem półtora tysiąca Sasów. Rosjanie, którzy byli obowiązani do współdziałania z Napoleonem, zachowywali się neutralnie, a zawsze chwiejny cesarz Aleksander, nazywający odbudowanie Polski swą „ulubioną ideą“, mimo to patrzył przez palce na plany Austrii, ba, szedł im nawet na rękę. Polska w owym czasie była tylko pionkiem, wygrywanym przez coraz to inne mocarstwo.

Arcyksiążę austriacki, rozpoczynając działania wojenne, wydał odezwę do ludności Księstwa, zapytując m. in., że jakżeż to się dzieje, iż miłujący wolność Polacy zlewają krwią broniącą swej wolności Hiszpanję?

Ks. Poniatowski postanowił bronić się, obierając stanowisko pod Raszynem. Pozycja była korzystna, okryta od frontu bagnistą doliną rzeczki Mrowy, stawami i błotami. Przez trzy dni trwały utarczki straży przednich, wreszcie 19 kwietnia nadciągnęły główne siły wroga i uderzyły potężnie na Falenty, lasek olszowy i wejście na groblę, którędy trakt biegł do Raszyna...

I oto jestem na tej grobli, nad którą pochylają się odwieczne drzewa i szumi wiatr wspomnieniem bojowej sławy. Z lewej strony są pokryte lodem stawy. Przede mną horyzont przekreśla wąskie pasmo olszyny. Po prawej stronie olszynka, nasze szczątki olszynki. To już nie ta, przez którą, zapadając po pachwiny w błocie, pod ogniem polskich dział i piechoty brnęły austriackie tyraljery.

A w ich szeregach — o krwawa ironjo losu! — szły polskie chłopcy, gwałtem wzięte w nowokreowaną Galicję.

O samej bitwie taką relację daje nam historyk:

„Ks. Józef wsparł swoją straż przednią tylko kilkoma działami artylerji konnej, przede wszystkim zaś popędził do niej sam ze sztabem; w chwili krytycznej, gdy szef sztabu głównego, gen. Fiszer wspólnie z Sokolnickim i płk. Godebskim zawracali do kontrataku złamany świeżo bataljon pułku 8 piechoty, książe osobiście, pieszo, z karabimem w ręce poprowadził na bagnety sąsiedni bataljon pułku 1-go wpadł na flankę i tyły przeciwnika, odbił już utraczoną pozycję falencką. Wreszcie kilkakrotna przemoc austriacka zmogła opór polskiej straży przedniej. Zabity był Godebski, ranny Fiszer, w sztabie księcia wszyscy oficerowie byli ranni, lub konie mieli rażone. Zaczął się wielogodzinny bój o pozycję główną. Tyraljerzy polscy i sascy razili ogniem brnące przez bagna kolumny przeciwnika, a kilkanaście dział polskich i saskich, któremi kierował ks. Józef z gen. Pelletierem, Francuzem, inspektorem artylerji naszej,

złamało wkońcu ześrodkowanym ogniem atak austriacki“.

Bitwa skończyła się około godziny 22, ale choć zwycięstwo, okupione stratą dwóch tysięcy ludzi, było po naszej stronie, jednak zmęczenie żołnierzy bojem było tak wielkie, przewaga wroga tak znaczna, że ks. Józef postanowił wycofać się za Wisłę, oddając stolicę przejściowo w posiadanie Austrii, zwłaszcza, że sił, wystarczających do obrony miasta, nie było.

Cóż dziś pozostało z tych czasów? Zawodna jest pamięć ludzka. Uczniacy sugerowali mi, że w boju tym rannym został śmiertelnie Cyprian Godebski oraz leży ranny książe Józef.

— Poniatowski nie był ranny — powiadam.

Przyjęli sprostowanie to obojętnie do wiadomości. Zaciekawilem się, co przedstawia kamienna figura na grobli. Na jaką intencję postawiona?

— Zdaje się, że święty Jan... — Wnet jednak z ożywieniem poinformowali, że stawy obfitują w dzikie kaczkę, że w okolicy jest dużo bażantów. Zimą na tych stawach można „bosko“ ślizgać się, w lecie — kajakować. A tam, na tych parcelach, budują się jacyś „państwo“ z Warszawy...

Nie, myśl ich nie chciała zawracać ku przeszłości, nie interesowała ich ona. Raszyn jest dla nich odległą historją. Jak dla nas, powiedzmy, wyprawy króla Olbrachta.

Brnąc przez zaśnieżone pole, udaliśmy się w kierunku stojącej pod rozłożystą topolą żółto malowanej statui. Zamazany ongiś i dziś odskrobany na nowo napis odczytałem z trudem.

*„Matko Boga co darem trwałych łask przez wieki
Domodzisiz nad Koroną Polską Swoję opieki
Gromiąc wrogów Tego krayu rozyednay u Syna
Wieczny pokoy poległym na niwach Raszyna.“*

W Raszynie d. 20 Czerwca 1828 r.

Nieco wtyłe za figurą i drzewem znajduje się cmentarzyk z czasów wielkiej wojny. Leżą tu spolem i w największej zgodzie: żyd-muzykant z armji rosyjskiej i bohatersko poległy gefrajter z pułku bawarskiego landszturmu, a tuż obok wspólna mogiła kryje 25-ciu, jak zwykle, bezimiennych Rosjan... Ogrodzenie się rozpada, krzyże butwieją i za kilkanaście lat jeno gadka ludowa wspominać będzie te krwawe dzieje.

Oglądając się za siebie, na opuszczony cmentarzyk, szedłem do ostatniego etapu mej wycieczki, do wysokiego, murowanego, czworokątnego słupa z krzyżem na wierzchu, jakich pełno przy drogach Marzowsza. Napis na nim głosi: „1809 — 1829. Pamięci tu poległego Cyprjana Godebskiego, pułkownika wojsk polskich, w 20 rocznicę bitwy pod Raszynem“.

Ten niby obelisk dotyka prawie ściany obskurnego czworaka dworskiego. Żałosny to pomnik dla poety i dobrego żołnierza. Czy nie godziłoby się zamiast kilku nędznych wierzb zasadzić tu jakieś bardziej ozdobne drzewa, któreby skryły szpetotę otoczenia i były skromnym dowodem pamięci?

Czas na powrót. Autobus już czeka przy zajeździe „Pod księciem Józefem“. Chwilę patrzę na aleję odwiecznych drzew na grobli, co inne czasy i innych widziały ludzi, gdy z gospody wynurza się typ w maciejówce, butach z cholewami i krótkiej kapocie. Czapkę ściągając z tysej głowy i, zataczając się, rusza naprzód. Nogi mu się płaczą, mimo to idzie coraz szybciej, aż przechodzi w jakiś rozchwiany tańiec. Śpiewa:

„Guljał ja, mołodiec...“.

Tym to obrazem, iście słowiańskim, żegnał mnie historyczny Raszyn.

Jerzy K. Maciejewski.

Emigracja rozpoczęła się u nas w połowie 19-go stulecia. Pierwszymi emigrantami byli awanturnicy, ludzie, którzy dusili się w ciasnych ramach obowiązków. Pragnienie przygód, chęć zerwania z codzienną szarżą kazała im wyjeżdżać z ojczyznaną, narażać się na tysiące niebezpieczeństw, a często i ginąć na obczyźnie. Bo tylko te jednostki utrzymywały kontakt z bliskimi, którym udawało się zwyciężać w walce o byt. Inni wstydzieli się pisać o swoim niepowodzeniu lub też nie posiadali środków materialnych, potrzebnych na powrót do kraju.

Emigrowali również mężczyźni w wieku poborowym, nie chcąc służyć w wojsku zaborców. I występne jednostki, które pragnęły się ukryć w bezpiecznym schronieniu, gdyż w kraju groziły im więzienne kraty.

A za nimi wędrowali za morza ludzie w nadziei polepszenia sobie bytu. Ameryka wchłaniała wtedy liczne rzesze przybyszów z Europy. Chociaż początkowo obchodziła się z nimi okrutnie i kazała im się imać zawodów, pogardzanych przez swoich obywateli, jednak po pewnym czasie znajdowali oni odpowiednią pracę, nieraz bogacili się, slali pieniądze do swoich rodzin, pozostawili w kraju, a często wzywali je do siebie. To był okres największego rozkwitu emigracji, gdy za cenę pożegnania własnego kraju można było żyć w dostatku.

Ale od r. 1923 zmieniło się oblicze emigracji. Niektóre kraje ustaliły kontygent, regulujący przypływ obcokrajowców. Ciężkie warunki ekonomiczne, wzrastające bezrobocie, jak również powiększona suma pieniędzy, które uchodząca musiał pokazywać przy lądowaniu, wpłynęły na zmniejszenie emigracji.

Wreszcie trzy lata temu rząd powołał do życia syndykat emigracyjny, w skład którego weszły linie okrętowe, reprezentowane u nas w kraju. Okazały się niepotrzebne liczne oddziały linii okrętowych na prowincji, gdyż zamieniły je ekspozytury syndykatu. Chcąc imigrować otrzymują wszelkie informacje na miejscu, bezpłatnie.

Ale dzisiaj może emigrować tylko ten, kto ma rodzinę zagranicą i otrzymał od niej imienne wezwanie, lub posiada podpisany kontrakt pracy. Bo zniknęła emigracja zarobkowa.

— Mamy dosyć naszych własnych bezrobotnych! Dosyć ludzi, garnących się do każdego zajęcia! Niepotrzebni nam są obcy przybysze! — brzmi hasło krajów, które do

Jest to w bardzo znacznej mierze winą ich własnego niedbalstwa. Większość Pań nie zastanawia się wcale nad wyborem mydła. Mycie twarzy mydlami nieprzetłuszczonymi lub alkalicznymi powoduje łuszczenie się naskórka i czyni go podatnym do tworzenia zmarszczek. Natomiast *Mydła Przetłuszczone M. Malinowskiego* oddają jej ela-

styczność i delikatność, uodporniają na wpływy zmiennego powietrza. Stosowanie mydeł przetłuszczonych *M. Malinowskiego* do codziennego użytku jest najprostszym i najskuteczniejszym z kosmetycznych zabiegów.

Apteka ul. Nowy Świat 31. Warszawa Lab. Chem. Farm. ul. Chmielna 4.

niedawna przyjmowały emigrantów.

Ale chęć poprawienia sobie losu jest silniejsza, niż wszelkie obostrzenia emigracyjne.

— Nie chcą mi pozwolić wyjechać? To nie? Sam sobie dam radę! — twierdzi młody żyd.

Marzył o wyemigrowaniu do Palestyny, ale nie posiadał wystarczającej sumy pieniędzy, potrzebnej przy lądowaniu i nikt ze znajomych lub krewnych, osiadłych w Palestynie nie przysłał mu imiennego wezwania. Wydział palestyński, uprawniony przez rząd do informowania i przygotowania emigrantów, nie mógł mu przyjść z pomocą. Pozostała tylko „zielona granica”, lub możliwość przyłączenia się do wycieczki...

Ale władze portowe w Palestynie znają dobrze element, który przybywa do nich nielegalną drogą. Bywają liczne wypadki, gdy nie pozwalają lądować...

W obecnych czasach najwięcej cyfrowo przedstawia się emigracja do Palestyny. Wyjeżdżają przeważnie robotnicy, ideowcy, t. zw. chalucowie, pionierzy sjonizmu, pragnący poświęcić się pracy na roli.

Tendencja do emigracji zarobkowej, uświęcona wiekową tradycją, trwa w dalszym ciągu. I ze wszystkich zakątków Polski płyną listy na ręce Prezydenta Rzeczypospolitej, Marszałka Piłsudskiego, bądź wprost do Syndykatu Emigracyjnego.

„Mój mąż wyjechał do Brazylii 5 lat temu”, głoszą krzywe litery, na tanim papierze. „Prosiłam, żeby mnie zabrał do siebie, bo nie mam z czego żyć. Ja i moje dzieci. Napisał, że jest chory i stracił pracę, ale nie wierzę mu. Pokornie proszę Pana Marszałka o pieniądze na podróż do męża...”

— Gdzie najkorzystniej można wyemigrować? — pyta rzeczowo w innym liście, zaadresowanym do Syndykatu Emigracyjnego, właściciel sklepu z pod Lublina.

— Podobno są takie osady w Argentynie, gdzie człowiek może spokojnie żyć i pracować. Wyczyta-

łem o nich w Kurjerku. Czy to prawda? — zapytuje mieszkaniec Kielc.

A list, zaadresowany do Marszałkowej, jest krzykiem rozpacz i bólu.

„Nie mam z czego żyć, rodzice umarli, narzeczony porzucił i stracił miejsce w fabryce. Moja siostra mieszka w Brazylii i prowadzi się jej dobrze. Prosiłam ją o pomoc, ale odmówiła. Pisze, że jak przyjadę do niej, to napewno znajdzie jakieś zajęcie, a nie przysyła imiennego wezwania, ani pieniędzy...”

I błaga o pomoc materialną.

Ale te wszystkie prośby załatwiane są odmownie. Państwo nie ma środków na przyjęcie z pomocą wszystkim potrzebującym. Syndykat Emigracyjny, do którego trafiają naiwne listy, daje żądane informacje i tłumaczy sklepikarzowi z pod Lublina i mieszkańcowi Kielc, jakie obowiązują dzisiaj przepisy emigracyjne. A nieszczęśliwe nędzarki kieruje do Opieki Społecznej...

Jednak miraż ziemi obiecanej nie przestają nęcić i manić tłumy naiwnych, chociaż jadą tylko nieznaczne jednostki, wezwane przez rodziny, lub posiadające podpisany imienny kontrakt pracy. I pociąg, zdążający na Zachód, wiezie rozradowanych, szczęśliwych emigrantów.

Na peronie panuje krzyk i hałas.

Rozlegają się głośnie rozmowy, wesołe nawoływania, słychać żargon, wiejską gwarę, rzadziej język rusiński.

— Jadę do Brazylii, do męża — oświadcza drobna, szczupła wieśniaczka, spoglądając z dumą na odprawiających.

— A ja do tatula! — cieszy się mały chłopiec. — Jak tatulo wyjechał, to bez trzy roki nie było nic o nich słychać. A teraz przysłali dolary i papiery...

— A ja jadę do Rio de Janeiro, do moich dzieci! — krzyczy piskliwym głosem stara, tęga żydówka.

— A ja do brata!

— A ja do syna!

— Do narzeczonego!

— Do ziemi obiecanej! — woła młody chłopiec o inteligentnym spojrzeniu.

Na policzkach płoną rumieńce. W oczach błyszczy niecierpliwość. Emigrant co chwila spogląda na zegarek, nie mogąc się doczekać chwili, w której wreszcie pociąg uniesie go w dal. Nie straszną wydaje się podróż przez ocean, nie przeraża ostra kwarantanna, obcy język, zmienione warunki życia. Do portu towarzyszy mu konwojent linii okrętowej. Ministerstwo Opieki Społecznej wysyła często swojego przedstawiciela, dbającego o potrzeby uchodźców. A potem emigrant pozostanie sam na wielkim okręcie, prującym swoim dziobem spiętrzone fale Atlantyku. Ale nie lęka się. Nie jedzie przecież w pogoni za fatamorganą, lecz żegna ojczyznę, aby połączyć się z najdroższymi istotami, lub otrzymać pracę, która umożliwi mu istnienie!

I nieznany kraj staje się dlań na prawdę ziemią obiecaną!

St. Osińska.

Z teatrów

„PLASZCZ“ TUWIMA W NOWEJ KOMEDJI.

Jeszcze jeden dowód, że miłość zaślepia. Tuwim niewątpliwie kocha Gogola i, jak to się często zdarza w życiu, z wielkiej miłości wyrządził mu wielką krzywdę. Przegogolizował Gogola. Inaczej mówiąc, za-

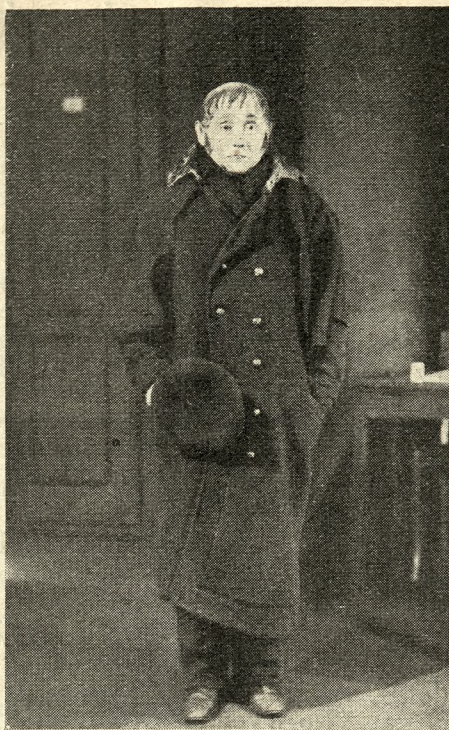
miast „plaszczą“, skroili mu kurtę. Z przesłicznej noweli, której największy urok polega na szarych, subtelnie przyciszonych tonach, zrobił widowisko samo przez się ciekawe, ale bolesne dla miłośników Gogola, jako operacja na jego żywym ciele. Okazuje się, że między kultem a pietyzmem jest duża różnica. Tuwim w imię kultu dla Gogola zmasakrował jego „Sziniel“, postąpił jak ten fetyszysta z rosyjskiej aneg-

doty, który „czcił to, co palił, i palił to, co czcił“. Gdyby miał więcej pietyzmu dla „Szinieli“, nie byłby wogóle przerabiał jej na scenę. Jest to bowiem typowe opowiadanie o nikłej akcji i rzadko wplecionych w nią rozmowach, tak rzadko, że zbudować na nich można tylko bardzo nikły dialog sceniczny.

Chcąc jednak *comme il faut* zrobić z „Szinieli“ sztukę, trzeba było ten dialog dokomponować własną inwencją i gogolewskimi słowami, a akcję rozwinąć przez zaopiecznienie sytuacji i postaci z innych utworów Gogola. Tą drogą powstała cała scena w departamencie, na imieninach i u Gromotrubkowa, tą drogą przemycił się Chlestakow z „Rewizora“. Trzeba przyznać, że tam, gdzie Tuwim podrabiał Gogola, udało mu się to w zupełności. Apokryf jest ładząco podobny do oryginału.

Natomiast wszędzie tam, gdzie Tuwim chciał uwspółcześnić Gogola, czy to pod względem inscenizacyjnym, czy też ideowym, potykał się o nieporozumienie i wpadał w jeden z dwóch krańców: albo w naiwność, albo w pretensjonalność. Pretensjonalne było zakończenie sceny imieninowej w duchu sketchowym (zbiorowa melodeklamacja refrainu „czyn czyną poczytaj“), tu zemścił się na Tuwimie szatan rewji, śmiesznie naiwny był epilog, wprowadzający niepotrzebną i tak obcą Gogolowi nutę kaznodziejskiego patosu.

Gogol otoczył wprawdzie swego Akakja Akakjewicza Baszmaczkina subtelną aurą współczucia i sentymentu, on ma do niego słabość, ale nie bierze go na serjo. Już sam fakt zupełnej umysłowej indolencji Baszmaczkina, krąg jego ideałów życiowych, zamykający się w przepisywaniu



Jaracz jako Akakij Akakjewicz Baszmaczkin.



Scena u generała Gromotrubkowa. Jaracz, Tadeusz Frenkiel i Relerowicz-Ziemińska.

osobliwszych pod względem adresu aktów „dla siebie na pamiątkę”, świadczy, że mamy do czynienia raczej z niedorozwiniętym kretynem, niż z ofiarą systemu biurokratycznego. Krzywda, jaka się stała biednemu urzędnikowi przez ukradzenie mu nowego płaszcza, do którego doszedł drogą tysięcy ofiar i prywatcji, jest niewątpliwie wielka, za wielką na jego słabą duszyczkę, ale nie można jej wyolbrzymiać i obciążać nią wyłącznie państwa, jak to wynika z tuwimowskiego epilogu.

Gogol te pośmiertne porachunki Baszmaczki z Gromotrubkowem, radcy tytułarnego z generałem, potraktował raczej pod kątem swobodnego humoru. Upiór, kichający od zapachu policyjnej tabaki, to rodzony brat tych wesołych zmor z „Wieczorów na chutorze pod Dikańką” i nie ma nic wspólnego z tem uroczystym widmem, prawiącym nudne kazanie na temat poszanowania człowieka.

Sto lat temu Gogol pisał swoją „Sziniel” i uważał, że jej sens jest zbyt jasny, aby potrzebował obroku moralnego i to w stylu marnych jasełek czy amatorskiego przedstawienia w świetlicy żołnierskiej. Trzeba dodać na pociechę, że i ta publiczność ma dzisiaj większe wymagania.

Jeżeli „Płaszcz” był napisany z myślą o Jaraczu, to trudno o trafniejszy wybór. Baszmaczkin zmartwychwstał w ciele Jaracza. Gogol poznałby w nim niewątpliwie dziecko swego serca i wyobraźni. Moment, kiedy w biednym, nieśmiałym, przez wszystkich pomiatanym urzędnicy, pod magnetycznym fluidem nowego płaszcza,

budzą się pierwszy raz w życiu jakieś ludzkie aspiracje, ambicje, plany i nadzieje, należy do najlepszych kart scenicznych Jaracza. To poprostu dokument psychologiczny. My, kobiety, dobrze wiemy, ile o naszym samopoczuciu i powodzeniu decyduje suknia „do twarzy”.

Frenkiel rolę Gromotrubkowa brał szarżą w stylu „Rewizora” i tą drogą stworzył typ, może przejawskawiony, jak na „Sziniel” ale wierny Gogolowi.

Niesamowitego krawca, przypominającego przedśmiertne widziadło z „Hanusi”, Hauptmanna, z precyzją wystylizował Daniłowicz. Rzewną gospodynią była p. Dąbrowska.

Dekoracje i kostjomy utrzymane w duchu epoki i środowiska.

Reżyserja Perzanowskiej bez zarzutu.

S. P. O.

Z ubiegłego tygodnia

Wizyta ministra Barthou.

Mam przed sobą zdjęcia, ilustrujące rozmaite momenty wizyty francuskiego ministra spraw zagranicznych, pana Louis Barthou, Miła, mądra twarz raczej uczonego, raczej pisarza niż polityka. Może jednak ulegamy tylko sugestji, wiedząc, że p. Barthou jest świetnym pisarzem. Ale i to wiemy, że pan Barthou jest jednym z tych polityków Francji, którzy przyjaźń z Polską kładą na pierwszym miejscu polityki francuskiej. Minister Barthou podpisał wszak-

że w r. 1921 przymierze Francji z Polską i jeżeli przez te lat trzynaście nie wszystko mogło nas przekonywać o całkowitej przyjaźni Francji, to dziś, pod kierunkiem min. Barthou, polityka zagraniczna naszego sprzymierzeńca pragnie podkreślić wartość tego sojuszu.

W wywiadach i oficjalnych przemówieniach pana Barthou powtarzało się często słowo: wierność. Nie trzeba tu dowodzić,



BOHATEROWIE CZELUSKINA
(patrz „Z ubiegłego tygodnia”, Nr. 15.)



Kierownicy wyprawy arktycznej Człuskina obok pomnika, wzniesionego przez nich na wyspie Samośności na morzu Karskim na pamiątkę ich pierwszego tam wylądowania. Wśród obecnych drugi z prawej strony profesor Schmidt.

czem jest ta cnota we wzajemnych stosunkach sojuszników. Minister Barthou zna cenę tego słowa, to też, rozszerzając swoje wynurzenia, z całą świadomością podkreślił intencje Francji i Polski: „Nasza polityka i wasza — mówił — odznacza się jednakową uczciwością. Nie chcemy atakować, ani grozić nikomu. Szanujemy wszystkie słuszne prawa. Nasze porozumienie nie sprzeciwia się żadnemu szczeremu wysiłkowi, zmierzającemu do odprężenia. Wśród skomplikowanych zagadnień, które niepokoją Europę, przyjaźń Francji i Polski stanowi czynnik pokoju, stałości, porządku i bezpieczeństwa.... Wasze odrodzenie narodowe, którego hasło rzucił wam i wzór dał wasz sławny Marszałek, o imieniu dziś legendarnym na całym świecie, uczyniło dziś z Polski kraj wielki, słuchany i poważany. Francja cieszy się z tego. Nie nas nie dzieli... Polska w oczach naszych tworzy historię, która czyni ją równie wielką, jak wielka była jej przeszłość. Z roku na rok daje ona dowody siły i rozwija ją dzięki pracowitemu uporowi, wpływającemu z jej płomiennego patriotyzmu...”

Toast ten, to enuncjacja, która nie wymaga ani komentarzy, ani wyjaśnień. Minister Barthou przybył do Warszawy, aby te dawne uczucia, które łączą oba narody, zmanifestować i wzmacnić. Odpowiedź naszego ministra spraw zagranicznych, pana Józefa Becka, zaświadczyła więc na rzecz tej idei: „...Układy, łączące Polskę i Francję, są jednym z najsilniejszych i najbardziej żywotnych i najtrwalszych czynników polityki międzynarodowej; jedynym ich celem bowiem jest organizacja i umocnienie pokoju.... Podróż, jaką Pan przedsięwziął do nas, pozwoli również i Panu, Panie Ministrze, uczynić obserwacje, niepozabawione wagi, gdyż da Panu możliwość stwierdzenia, do jakiego stopnia czynniki, które lat 13 temu stanowiły podstawę Pana polityki, były słuszne i odpowiadały koniecznościom i wskazaniom życia. Stwierdzenie takie jest zawsze cenne dla męża stanu i pozwalam sobie osądzić, że będzie ono również mile dla Pana, jak i dla nas...”

Ministrowi Barthou, który chlubi się tem, że jest „un fidèle ami de la Pologne” część prasy francuskiej nie oszczędziła na wyjeździe gorzkich uwag o błędach dotychczasowej polityki francuskiej. Pertinax w „Echo de Paris” pisze wyraźnie, że „ze względu na to, że Polskę traktowano jako państwo drugoplanowe, rząd polski postanowił ostatnio jesienią okazać Francji swoje niezadowolenie. Czyż zresztą raz jeszcze w sprawie rozbrojenia rząd Daladier-Paul Boncour nie powziął bez żadnego uprzedniego zapytania bardzo niebezpiecznych dla wschodniego sprzymierzeńca Francji decyzji? Zadaniem Barthou jest naprawić to, co zniszczył Paul Boncour”.

W „Petit Parisien” podkreślono znaczenie konferencji Marszałka Piłsudskiego z min. Barthou. Konferencja ta świadczy,

że Marszałek zamierza wziąć bardzo żywy udział w rozmowach i nadać im specjalny charakter, odpowiadający jego osobistym poglądom na wielkie zagadnienia polityki międzynarodowej.

Jeżeli więc dzisiejszy przegląd wydarzeń politycznych „z ubiegłego tygodnia” poświęcamy wyłącznie wizycie ministra Barthou, to dzieje się to z powodu ważności faktu, mającego znaczenie nie tylko dla obu państw sojuszników, ale przede wszystkim dla polityki europejskiej. Sojusz polsko-francuski to jakby mocne więzadło stropu. Nie mówię o „fundamentach”, które są potoczną metaforą umocnień politycznych, bo fundamenta to przecież tradycja tej przyjaźni, sięgająca wiele wieków wstecz i ustalana krwią w czasach, gdy Polska nie była już państwem, tylko narodem; gdy, będąc już tylko narodem, mogła Francji ofiarować nie swój prestiż, ale to, co posiada najcenniejszego — bohaterstwo, honor i — zawsze tak samo: wierność.

H. N.

Bohaterzy pracy oświatowej

Dnia 3.V b. r. rozpoczyna się zbiórka Daru Narodowego 3 Maja na prace oświatowe Polskiej Macierzy Szkolnej. O ile centralizacja decyduje o aktywności wielu instytucji, siłą polskiej Macierzy Szkolnej jest jej decentralizacja i uniwersalność. Każde Koło prowincjonalne P. M. S., których ilość wynosi obecnie 256, decyduje samodzielnie o swej organizacji i pracy w zależności od miejscowych warunków, informując tylko Zarząd o swych potrzebach, oraz korzystając z jego pomocy.

„Macierz bowiem propaguje „oświatowe pospolite ruszenie” — każdy polak kulturalnie zaawansowany powinien stać się żołnierzem w walce z analfabetyzmem, który dziś jeszcze obejmuje w Polsce 6 milj. osób w wieku od 10 — 60 lat.

Jak prowadzona jest ta walka?

Nakładem P. M. S. ukazał się elementarz dla nauki starszych, opracowany w taki sposób, że w ciągu trzech tygodni człowiek umiejący czytać, może doskonale nauczyć nieuka. Najniższą więc jednostką w walce z analfabetyzmem jest t. zw. „czwórka oświatowa” — jeden uczy trzech przy pomocy wspomnianego elementarza oraz tekstu konstytucji polskiej w opracowaniu dla samouków.

Akcja wykładowa.

„Służba oficerska” przypada w udziale inteligencji rozmaitych zawodów. Polska Macierz Szkolna już nie wysyła prelegentów z odczytami na prowincję. Akcję wykładową prowadzi obecnie miejscowy inteligent, co okazało się znacznie mniej kosztowne.

Na prowincję wyrusza według oznaczo-

nej trasy mechanik z latarnią i z przezroczami, zwany przez wiejską ludność „latarnikiem”. Na 10 dni przed jego przybyciem inteligent otrzymuje broszurkę o organizowaniu odczytów, omawiającą przytem popularnie jakieś ciekawe zagadnienie, zilustrowane przezroczami „latarnika”.

Odczyty te, odbywające się nieraz w zwykłej szopie, mają już wyrobioną sławę. Niejednokrotnie dziecko zamiast groszaków ofiaruje organizatorom wycyganione od matki jajko, byle nie odejść od drzwi, za którymi będą się działy cuda: obrazki, a potem muzyka.

W ten sposób w 1933 roku 41007 dorosłych osób i dzieci wysłuchało 745 wykładów w punktach wiejskich.

Powszechnie znana jest szeroko rozwinęta akcja bibliotekarska Polskiej Macierzy Szkolnej. W 1933 roku 836 bibliotek P. M. S. wypożyczyło 795.233 książki.

Zakłady i instytucje.

Jednym z głównych punktów działalności „Macierzy” jest leczenie starej polskiej choroby — braku stanu średniego. Od czterech lat 42 szkoły zawodowe P. M. S. wypuszczają co roku 250 czeladników: ślusarzy, stolarzy, kowali, mechaników, kupców i t. d. Polska Macierz Szkolna nie poprzestaje na bezzmysłnym produkowaniu rzemieślników, lecz rozwiązuje również problem osiedlania tych fachowców. Przyznaje się pożyczkę w wysokości 1000 zł., ze spłatą w ciągu 10 lat, na założenie odpowiedniego warsztatu.

Kryzys gospodarczy odbił się silnie na pracach „Macierzy” i zmusił ją do zamknięcia kilku szkół zawodowych. Jako forma zastępcza powstały „ogniska terminatorskie” — odpowiednio wybrani chłopcy zostają umieszczeni u miejscowych majstrów: jeden u ślusarza, drugi u kowala i t. d. Mieszkają jednak wspólnie, po ośmiu w utrzymywaniem przez P. M. S. ognisku terminatorskim.

Kresowe szkoły powszechne „Macierzy”.

Szczególną opieką otacza „Macierz” Kresy Wschodnie. Polska bowiem nad Wisłą i Bugiem zawsze będzie Polską, jej poziom kulturalny podnosić będą następne pokolenia. Zadaniem pokolenia dzisiejszego jest utrwalenie polskości naszych kresów; spychanie tego zadania na barki następnych pokoleń jest karygodną krótkowzrocznością. Pod hasłem „frontem do kresów!” Macierz zakłada szkoły powszechne i przedszkola, organizuje świetlice, biblioteki i bursy. W 72 szkołach uczy się już kresowe dzieci, a około 100 szkół jest w przygotowaniu. Niezmiernie ciekawą i bardzo skuteczną okazała się koncepcja „Opiekuńczych kół P. M. S.”. Koła, znajdujące się w centrum Polski, zorganizowane dobrze i zamożniejsze, opiekują się

szkołą kresową, przeznaczając dla niej 60 zł. miesięcznie. Umożliwia to utrzymanie tej szkoły, nauczyciel bowiem pobiera cenę 60 zł. miesięcznie oraz trochę od rodziców w naturaljach, a nauczycieli wykwalifikowanych bez pracy mamy w Polsce 6.000!

Opiekę pozaszkolną „Macierz” prowadzi, organizując bursy. Obecnie sprawa ta przedstawia się nieco gorzej. Wobec ciężkich warunków finansowych rodzice coraz częściej wycofują swe dzieci z burs. W 24 bursach „Macierzy” znajduje się obecnie do 700 młodzieży na pełnym utrzymaniu.

Teren działalności Polskiej Macierzy Szkolnej obejmuje województwa: warszawskie, kieleckie, łódzkie, białostockie, poleskie, nowogródzkie, wołyńskie i wileńskie. Pod względem nasilenia prac najlepiej przedstawia się Wołyń. Na ogólną liczbę 256 kół „Macierzy” 43 kół znajduje się na Wołyniu, 34 czytelników-słoneczników na ogólną liczbę 350, 210 bibliotek na ogólną liczbę 854, 20 szkół powszechnych na ogólną liczbę 75, i wreszcie 8 szkół zawodowych na 41.

19.097 członków Polskiej Macierzy Szkolnej rekrutuje się ze wszystkich sfer ludności, łożą swój czas i pieniądze na pracę oświatowo-wychowawczą, o której owocności świadczą dość wymownie przytoczone powyżej cyfry.

Halina Karnicka.

Nasza mównica.

Przeczytałam z zainteresowaniem obie części artykułu p. Sikorskiej-Bogusławskiej o blaskach i cieniach dzisiejszego home'u. (Nr. 11 i 12-ty Bluszczu).

Myślę, że komórka rodzinna ostoja się i odrodzi, bo musi ostać się, przynajmniej tak długo, jak istnieć będzie ludzkość.

Ale forma zmieni jeszcze raz w następnych po nas pokoleniach. Obecnie przeżywamy jedno z dość licznych załamań na drodze przeobrażeń komórki rodzinnej i, jak to „na zakręcie” wóz pochyla się w biegu, pasażerom kręci się w głowie.

To nie pierwszy raz. Jedziemy jednak jakoś dalej, lepiej, gorzej, łżej i ciężiej bywa, rozmaicie, ale bez ostatecznej katastrofy.

Za ś. p. Fenelona już obruszano się na internaty „pour jeunes filles nobles”, wydzierające dziewczę z pod skrzydeł pani matki, jedynej i najlepszej, przez Boga wyznaczonej mistrzyni życia. Polemizowali już i wtedy pionierzy postępu z zarzutem, że rozbijają rodzinę i demoralizują kobietę przez naukę pisania, służyć jej mogą li-chyba do listów miłosnych, wiodących do małżeńskiej zdrady. W następnych wiekach jednak kobiety pisały nie tylko listy miłosne, ale i inne, pisały rachunki domowe... nawet „wlażyły do

literatury”, a świat trwał. Przed półwiekiem już tylko uniwersytet groził młodej dziewczynie deprawacją, a i obecnie grzmiały głosy przeciw koedukacji, przyczem jedni przepowiadają orgię opętania erotycznego, drudzy koniec świata z powodu zupełnego braku wzajemnego pociągu u osobników płci odmienniej. Nie, nie figura retoryczna — nie anegdota — ścisła prawda: ktoś, pytany o radę, jakiego rekolektanta poprosić o rekolekcje dla zakładu koedukacyjnego, wrzucił ramionami: „Re-ko-lek-tan-ta? — Poślijcie tam akuszerkę, przyda się chyba lepiej”. W tymże okresie inny pesymista wyraził całkiem serjo zdanie, że koedukacja tworzy z młodzieży płci różnej braci i siostry, instynkt przytępia się w ten sposób, jak wiadomo, i w niedługim terminie zegar życia musi stanąć. Nawiasem mówiąc, zawsze nas straszą końcem świata, choć życia wcale sobie nie chwala i już oddawna rodzice przestali nosić miano dobroczyńców swych dzieci z tytułu rodzicielstwa.

Wracam do artykułu p. Sikorskiej-Bogusławskiej, a ściślej — do końcowej rady, która mnie zastanowiła: Pokusić się o stworzenie idealnego home'u. Nie przeciwstawiać dezorganizacji home'u idealnej organizacji kolektywu wychowawczego.

Śmiem twierdzić, że idealnego nie stworzymy i nie stworzyliśmy nigdy nie, tem nie mniej, co tylko miano człowieka godne nosić, dąży do ideału. Więc może najlepszym wyjściem byłoby zgodzić się na to, co zresztą i tak samo życie z nieubłaganą konsekwencją przeprowadzi: droga wolnej konkurencji.

Nikt gwałtem nie będzie wydierał do kolektywy dziecka z home'u, gdzie rodzice harmonijnie stworzyć potrafią idealne warunki wychowawcze. Dziecko to wygrało wielki los na loterii życia.

Ale nie wszystkie losy wygrywają. Home, zbliżony do ideału, stworzą rodzice, mający po temu warunki materialne i moralne. Nie stworzą go stadła, gdzie praca zarobkowa ledwo starczy na potrzeby ściśle konieczne, gdzie cały dzień oboje spędzają poza home'em, na spacerach wracając do jednego pokoiku. Nie stworzą go jeszcze pewnie ludzie skłócenia, pojęcia nie mający o chowaniu i wychowaniu dziecka, nie życzący sobie „intruza”.

Zatem — w myśl rady p. Sikorskiej-Bogusławskiej, niech tworzą możliwie idealne home'y ci, co chcą i ci, co mogą, ale niech społeczeństwo zabiega zbiorowymi siłami o idealny typ kolektywu wychowawczego, gdyż tam, gdzie home wali się na głowę dzieci, trzeba je przenieść gdzieś indziej, bo one nie mogą pozostać na ulicy.

Czy zgoda?

M. B.



KOŁO KOBIECE L. O. P. P.

Koło Kobiectwa LOPP. (dawniej używające nazwy Koło Pań LOPP), które w dniu 18 b. m. stanęło przed Walnem Zgromadzeniem ze sprawozdaniem ze swojej działalności — ma za sobą już 4 lata pracy, stanowiąc w łonie wielkiej organizacji obrony powietrznej i przeciwgazowej odrębną komórkę, powołaną dla specjalnych zadań.

Kobiety, które dotychczas luźnie należały do poszczególnych Kół LOPP., zrzeszyły się w jedną organizację, by wspólnym wysiłkiem ufundować Cywilną Szkołę Obrony Przeciwgazowej tak potrzebną dla społeczeństwa i dla sprawy bezpieczeństwa życia naszego.

Ten jeden wielki cel wydobyl z zastrężeń kobiecych całą ich inicjatywę, energję i pomyslowość, skierowane jedynie ku zdobyciu jak największych funduszy na ową szkołę. Z większych imprez dochodowych, urządzanych w roku sprawozdawczym, wymienić należy bal reprezentacyjny, liczne dancingi, loterie żywnościowe i t. p.

Aby dla tej sprawy zjednać jak najszersze warstwy kobiece, które umiałyby ocenić należycie jej wagę i znaczenie — Koło Kobiectwa LOPP. postanowiło uświadomić kobiety ze wszystkich sfer społecznych o niebezpieczeństwie napadu gazowego, grożącym ludności cywilnej na wypadek wojny. W tym celu organizowano 10-ciogodzinne Kursy informacyjne obrony przeciwgazowej dla różnych środowisk kobiecych, poczynając od pracowni umysłowych z wyższych szczebli społecznych, aż do pomocnic domowych. W ten sposób przeszło 1.600 kobiet w stolicy zapoznało się z maską gazową, jej celem i zastosowaniem.

Obok Koła Kobiectwa LOPP w Warszawie istnieje szereg podobnych Kół na prowincji, których naczelną władzą organizacyjną jest Komitet Ścisły Kół Kobiecych LOPP., z siedzibą w Warszawie.

Na czele Komitetu Ścisłego stoi p. Zofia Wróblewska, jako przewodnicząca.

Zarząd Koła Kobiectwa w Warszawie stanowią: pp. Zofia Leśniewska — przewodnicząca, Janina Makowska — wiceprzewodnicząca, Janina Pogorzelska — sekretarka, Chluska — skarbniczka. Przewodniczące Sekcyj: propagandowa — Janina Dunin-Wąsowiczowa, szkoleniowej inż. Starczewska, dochodów niestałych — Janina Janicka.

LEKARZE STOMATOLOGI POLECAJĄ

ZNANA Z SWYCH ZALET

PASTĘ DO ZĘBÓW ALBODONT

TUBA 75 GR i 140 J. S. STEMPNIEWICZ-POZNAŃ

WYCHOWANIE I SZKOŁA

Behawjoryzm*) czy wychowanie emocjonalne?

Jak wychowywać dzieci? Czy stworzyć im swobodne ramy życia, w których zmieszczą się z całym swoim rozhukaniem, z żądzą przygód, z pragnieniem niezależności, z ciekawością, a tem samem skazać się na znoszenie hałasów, krzyków, dozwolić na przeróżne majstrowania, które zagrażają stałości naszych mebli, zgodzić się, aby w myśl żądań Russela były czyste tylko rano i wieczorem, natomiast przez cały dzień nosiły na ubraniu i rękach namacalne ślady bliskiego współżycia z ziemią, z piaskiem, z błotem, z wodą, z sękami drzew i z kolcami krzaków?

Czy też przeciwnie zażądać od nich poprawności w zachowaniu i umiaru w zabawach, staranności w ubraniu, uprzejmości, pilności, słowem wtłoczyć rwący szybko i rozlewający się kapryśny strumień w równo okopane koryto.

Teoretyk, układający plan systemu wychowawczego w ciszy swego gabinetu, izolowanego od wszelkich niepożądanych gwarów, odpowie odrazu:

— Czyż można się wahać! Tylko zupełna swoboda zapewni dzieciom należyty rozwój władz umysłowych i emocjonalnych.

Ale rodzice nie są teoretykami. Dzieci mają ciągle i blisko siebie, najczęściej w tym samym pokoju, w najlepszym razie w sąsiednim, skąd przez drzwi półprzymknięte dobiega łoskot przewracanych sprzętów, wrzask Indjan, mordujących białe twarze, terkot puszcanych parowozów, lub stokroć bardziej niepokojąca złowroga cisza, będąca najczęściej wstępem do niezwykłego i na wielką skalę zakrojonego wyczynu.

Nie ludźmy się, my wszyscy, entuzjaści i przyjaciele dziecka. Dziecko w życiu codziennym, w rzeczywistym swoim bytowaniu, to nie jest ten stwór poetyczny i czarowny, którego idealną syntezę stwarza literatura dziecięca, wiersze Ejsmonda, powiastki Zarembiny, czy powieści Żurakowskiej. Utwory te nie fałszują wprawdzie wizerunku dziecka, nie narzucają czytelnikowi nierzetelnej i płytkiej fikcji o jakimś nieistniejącym grzecznym chłopcu i nieistniejącej, banalnie dobrej dziewczynce. Mówią prawdę, dają prawdę w obrazie dziecka. Ale prawda ta jest zupełnie niepodobna do prawdy życia i gorzko rozczaruje się każdy, kto, opierając się na niej, przestąpi próg dzieciennego pokoju. W książce miał syntezę, opartą na zrozumieniu duszy dziecięcej, tu otrzy-

ma przejawy zewnętrzne, z którymi nie będzie wiedział, co począć. Rzeczywistość wyda mu się pozbawiona całkowicie nie tylko piękna i poezji, ale nawet zdrowego sensu. Co więcej, będzie go raz po raz irytowała i drażniła. Dane mu będą w całej bezpośredniości czyny dziecka, ukryte ich pobudki, które jedynie mogłyby usprawiedliwić to, co się wydaje złe i nieznośne, irracjonalne i bezsensowne, a opromienić wdziękiem to, co męczy i niepokoi.

Dziecko nasze jest cudowne, ale ta cudowność ukryta jest bardzo głęboko. Przeżywa ono bardzo bogate stany wzruszeniowe i posiada własny świat wyobrażeń, w którym widzi się pełne poświęcenia i bohaterstwa, ale jednocześnie gotowe jest każdej chwili do ordynarnej kłótni z bratem o posiadanie zabawki lub spożycie smakołyku. Wydaje się nam wtedy chciwe, samolubne, szorstkie i łakome. Wkraczamy czynnie i nawiązujemy odrazu do tych gorszych stron zewnętrznych, a nie wiemy nic o tem, co się kryje za czerwoną ze złości twarzą. Nie wiemy, nie tylko dlatego, że jest drugi człowiek, ale i dlatego, że ten człowiek ma inną zupełnie strukturę duchową, inaczej rozumuje, inaczej myśli, inaczej sądzi, inną widzi rzeczywistość, ponieważ jest dzieckiem.

Trzeba powiedzieć sobie otwarcie: dzieci męczą. Męczą samą swoją obecnością.

Rodzice przytem nie są najczęściej z przygotowania i zamiłowania pedagogami. Kochają swoje dzieci — oto wszystko. Ale mają jednocześnie własne życie. Pracują ciężko, bo takie są już warunki ekonomiczne, w specjalności swej muszą się ciągle doskonalić, bo tego żąda zaostrzona walka o byt, kochają niejednokrotnie swój zawód i z zamiłowaniem poświęcają mu wolne chwile w domu, mają również prawo do wytchnienia i do rozrywki. Jakże więc wymagać od nich, aby przekształcali swój dom w instytut wychowawczy i dobrawszy sobie jedną z najtrudniejszych metod, konsekwentnie szli według jej wskazówek, nie zrażając się ani zmęczeniem, ani niepowodzeniem. Stokroć łatwiej przypuścić, że, o ile nie są słabi i zawojowani przez dzieci, lecz pełni energii i inicjatywy, wybiorą metodę kar i nagród, stanowczości i autorytetu. Najkrótszą drogą będą dążyli do tego, aby zaprowadzić w domu wzorowy porządek, karność i spokój.

Gdzie jednak leży prawdziwy pożytek dziecka? Bowiem tylko dobro wychowanka jest sprawdzianem istotnej wartości metody wychowawczej. Nigdy do rażna korzyść wychowawcy.

Trzeba się nad tem gruntownie zastanowić.

Behawjoryzm, jako metoda wychowawcza, daje bardzo wiele. Przez staranną tresurę stwarza typ

*) Behawjoryzm (od wyrazu behaviour — zachowanie się) kierunek w psychologii, kładący nacisk na badanie zewnętrznych objawów zachowania człowieka.

NIE ZGUBISZ — NIE UKRADNĄ CI PIENIĘDZY

podczas wypoczynku letniego, jeżeli będziesz w posiadaniu książeczki oszczędnościowej P.K.O.
Każdy Urząd Pocztowy wypłaci z niej pieniądze w sumie do 100. zł. dziennie.

dziecka opanowanego, odznaczającego się dobrymi manierami, zewnątrznie postawionego na poziomie małego gentlemiana. System kar i nagród, surowych lub ironicznych upomnień i pochwał sprawia, że dziecko powściąga swe odruchy i osiąga mniej lub więcej ustaloną poprawność. Jest grzeczne i dobrze ułożone. Wychowawcy nie nastroją zbyt wiele kłopotu, gdyż jest wdrożone w pewne normy, z których wyłamuje się niezmiennie rzadko. Russel zapewnia, że, stosując tę metodę, można dziecko wrażliwe na ból uczynić po stoicku wytrzymałym, a małego tchórza doprowadzić do złożenia dowodów odwagi. Wystarczy obawa drwiny otoczenia, aby chłopiec ukrył swą właściwą naturę, a starał się zachowywać tak, jak tego wymaga kodeks jego rówieśników.

Z punktu widzenia psychologii behawjorystycznej, liczącej się jedynie z przejawem zewnętrznym, a nie z psychiką, wyniki tej metody byłyby wystarczające do uznania jej za jedynie celową. Przy najmniejszej stracie czasu najwydatniejsze rezultaty. Dziecko napiera się czegoś, jest łakome? Kilka razy zastosowane ośmieszenie może je z tego wyleczyć zupełnie. Czy bez szkody dla psychiki, o to behawjorysta nie pyta.

Tymczasem okazało się, że to tłumienie w dziecku naturalnych instynktów kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwo. Opanowane przez tresurę wychowawczą odruchy takie, jak złość, upór, okrucieństwo, chciwość, nie zostają tem samem zniszczone, lecz jedynie zepchnięte w jakiś ciemny zakątek podświadomego życia duszy.

W tym świecie, tak mało znanym i niedostępnym oku najbystrzejszego wychowawcy, kielkują przez długie lata, aby najnieoczekiwaniej przejawiać się w wieku dojrzałym w postaci złowrogiego kompleksu, uporczywej manji lub psychonerwicy. Instynkt, który nie mógł uzewnętrznić się w czynie, znalazł ujście w kierunku nie zakazanym przez otoczenie a niejednokrotnie znacznie szkodliwszym. Człowiek, zamiast mieć radosną i przyjazną postawę, staje się pastwą urojenia.

— Niebezpieczną jest rzeczą — mówi Russel — wytwarzać dodatnie społecznie postępowanie przy pomocy środków, które nie naruszają wcale antyspołecznych emocyj.

Zamiast więc nadużywać autorytetu rodzicielskiego, straszyć i postrachem usuwać zewnętrzne przejawy buntu i goryczy, otwórzmy jak najszerzej duszę dziecka promieniom słońca. Wprowadźmy jak najwięcej szczerości i otwartości. Dostarczmy jak najwięcej naturalnej, śmiałej swobody.

Kiedy mówię o swobodzie, nie mam na myśli

szerzącej się przed laty mniej więcej 30-tu, prawdopodobnie pod wpływem Ellen Key, metody „nietamowania indywidualności“. Zwolennicy jej w poszanowaniu osobowości swego dziecka szli tak daleko, że, nie chcąc ścierać najmniejszej cechy jego natury, pozostawiali mu niczem nieograniczoną swobodę. Dziecku było wolno wszystko — tłuc lampy i rzucać dywany. Cała gorsza instynktowna strona jego natury dochodziła w ten sposób do głosu przy zupełnym zaniku umiejętności powściągu. Sfera woli pozostawała bezczynna i w rezultacie metoda, mająca dawać światu pełnowartościowców, wydawała jednostki wybujałe i chwiejne.

Inną swobodę zapewnić chce dziecku metoda emocjonalna.

Chodzi w niej o to, aby wytwarzać pewne specjalne warunki otoczenia, w którychby dziecko, inspirowane oczywiście z zewnątrz, ale zarazem samorzutnie niejako dochodziło do takich emocyj, które będą je popychały do postępów pożądaných przez nas.

Metoda niekierowania indywidualności rozwijała uczucie i wyobraźnię, behawjorystyczna metoda opanowywania nadmierny nacisk kładła na rozwój (lekceważąc całe bogactwo przeżyć wewnętrznych), my pragniemy, aby do głosu dojść mogły wszystkie władze duchowe. Tak niesłusznie lekceważona strona emocjonalna staje się tu równie doniosła, jak intelekt i wola. Może więcej nawet, jako główna inspiratorka czynów.

Dziecko otrzymuje pełną swobodę, osadzoną jednak mocno na fundamencie przyjaznej i stanowczej systematyczności. To ostatnie jest mu nieodzownie potrzebne, aby czuło się zabezpieczone przed wszelkimi niespodziankami, które wprowadzić mogłyby rozterkę i niepokój. Jak najściślejszy porządek dnia, stałe godziny posiłków, ustalony rodzaj mycia, niepodlegająca dyskusji pora spoczynku i t. p. Jeżeli wprowadzimy jakiś zwyczaj do programu naszego domu, będą się z nim liczyły a nawet chętnie opowiedzą o nim w szkole. „U nas jest właściwie tak“... Lubią ustalony regime, który mogą brać poważnie. Mają więcej poczucia praworządności, niż by to mogło się wydawać z pozoru.

Ale jednocześnie pragną mieć swobodę. I tej swobody trzeba im dostarczyć. Muszą się bawić, krzyczeć, wprowadzać w życie niezliczone pomysły bujnej wyobraźni. Muszą czynić samodzielnie przeróżne doświadczenia, mieć ścisły kontakt ze światem, dotykać go, wachać, smakować. Muszą mieć prawo do zadawania pytań i otrzymywania rzetelnych odpowiedzi.

Stwarzamy więc dziecku pewne ramy, otaczamy je przyjemną i przyjaźnie aplikowaną systematycznością, ale pozatem odrzucamy wszelki autorytet wychowawczy.

Niszczymy tabu dorosłych.

Dziecko nie może się nas ani bać, ani wstydić. Pytania dziecka nie powinny nas nigdy wprowadzać w kłopot. Ono ma prawo zdobywać wiedzę o świecie bez względu na to, czy ta wiedza dziadkom naszym wydałaby się karygodna i nieprzyzwoita. Jednocześnie ma prawo wiedzieć, że nie jesteśmy chodzącą mądrością i że bardzo często, aby znaleźć odpowiedź na jego pytanie, musimy sięgnąć do encyklopedji. Russel twierdzi nawet, że powinniśmy pozwalać dzieciom nazywać nas głupcami, ile razy mają na to ochotę. Uważam jednak, że to byłoby dosyć przykre, chociaż z drugiej strony dzieci doskonale orjentują się we wszystkich naszych słabościach, więc najprostszą i najpraktyczniejszą chyba rzeczą będzie nierobienie z siebie przynajmniej uroczystych i nadętych głupców.

Koleżeńskie rodzicielstwo, oto co wydaje mi się

najtrafniejszym wyjściem z trudności pedagogicznych. Ty zdobywasz sobie i to samo czyni twój ojciec. Ciebie pociąga sfera ideału, którą chcesz opanować, i to samo dotyczy twego ojca. Obydwaj, jeden w dziecinny pokój, drugi w swym gabinecie pracujecie, szukacie, szperacie, aby dojść prawdy. Życie całą pełni swego intelektu i swych samorządnych uzdolnień.

A w przerwach, gdy obydwaj macie już chwilowo dosyć tych górnych wzlotów oraz towarzystwa własnych rówieśników, wpadacie sobie w ramiona i razem robicie brewerję, takie czy inne, dwóch wesółych koleżków. Rzucacie piłką w ciasnym pokoju, grożąc lampom i wazonom, albo idziecie na łódki, campingujecie razem, albo gracie w szachy.

Jak się ułoży wtedy emocjonalne życie tak chowanego dziecka? Sądzę, że nie znajdzie się w niem miejsca, ani na strach, ani na okrucieństwo. Przypuszczam, że będzie śmiałe, szczere i przyjazne wobec otoczenia, a w rezultacie ostatecznym — szczęśliwe.

A o to przecież chodzi.

Zofja Sikorska-Bogusławska.

Przed wyborem zawodu

Uczony niemiecki, William Stern, nazwał XX-ty wiek „wiekiem psychologii”. Ale dopiero w ostatnim dziesięciu lat nastąpił niezwykle żywy rozwój w tej dziedzinie. Zaczęto stosować psychikę nie jako jednostkę, oderwaną od życia, lecz jako metodę realizowania rozmaitych zagadnień życiowych. Okazała się potrzeba roztoczenia nad duszą dziecka nie mniejszej opieki, niż nad jego ciałem. Pojawili się w szkołach lekarze psychologów, powstały poradnie psychologiczne i psychotechniczne. Gdyż w obecnej dobie kryzysu, gdy walka o byt staje się coraz trudniejsza, wybór zawodu jest kwestją niezmiernie wagi. Prędzej weźmie życie za bary młodzieniec o ukształtowanym charakterze, pracujący w zawodzie, odpowiadającym jego zamiłowaniu i uzdolnieniom, niż jednostka, która obrała ten lub inny zawód bez żadnego zastanowienia, kierując się fantazją lub kaprysem.

Dopomóc młodzieży w obraniu właściwego zawodu, jak również rodzicom w prowadzeniu trudnych dzieci, znaleźć lekarstwo na lenistwo, krnąbrność, kłamstwo i t. p. wady dziecka, jest zadaniem i celem poradni psychologicznych.

Poradnie tego typu znajdują się na całym świecie. Nawet w tak niewielkich krajach, jak Nowa Zelandja i Porto Rico.

Rodzice rzadko znają dobrze swoje dziecko. Odgrywa tutaj rolę brak zaufania młodzieży do osób star-

szych, nieumiejętność rodziców znalezienie drogi, wiodącej do duszy dziecka, a czasami brak czasu.

— Moje dziecko jest leniwe, nie chce się uczyć — wzdycha matka.

— Ale jest kilkanaście przyczyn lenistwa. Czasami wypływa ono z nieumiejętności zainteresowania dziecka danym przedmiotem. W innym wypadku lenistwo jest skutkiem zainteresowań pozaszkolnych. To znowu odgrywają tutaj rolę czynniki fizyczne, jak anemja, okres dojrzewania i t. d.

— Ale tylko dokładne badanie psychologiczne zdoła ustalić właściwą przyczynę niechęci do nauki i tem samem pomóc rodzicom w kierowaniu dzieckiem we właściwy sposób.

W wyborze zawodu poradnia psychotechniczna odgrywa nie mniej ważną rolę, niż przy kształtowaniu charakteru dziecka. W pierwszej linii psycholog stara się zaskarbić sobie zaufanie zgłaszającego się. Nie jest to łatwe i wymaga ze strony psychologa wiele cierpliwości i taktu, zanim uderzy wreszcie we właściwy ton i zdoła zajrzeć w głąb dziecka. Tem bardziej, że często maturzysta lub też uczeń, kończący szkołę powszechną, obiera zawód bez zastanowienia.

— Chcę pracować na roli — oświadcza uczeń 7-go oddziału szkoły powszechnej, w którym badanie psychotechniczne odkryło duże zdolności do mechaniki.

— Pójdę na chemję — decyduje się maturzystka, odznaczająca się

wyjątkową niezręcznością i roztrzepaniem.

Badania w poradniach są prowadzone masowo i indywidualnie. Badanie indywidualne daje o wiele lepsze wyniki, niż masowe, gdyż psycholog nie jest krępowany brakiem czasu i może całkowicie poświęcić się jednemu dziecku.

Zgłaszający wypełnia najpierw kwestjonariusz, odpowiadając piśmiennie na szereg pytań: Jakie przedmioty najwięcej lubi w szkole? Czem się zajmuje po powrocie do domu? Jakie książki go interesują? Czy lubi sporty? Czem się zajmuje jego rodzice, rodzeństwo? W jakich warunkach pracuje? i t. d.

Odpowiedzi są przeważnie szczere. Kandydata nie wstrzymuje obawa przed złym stopniem, nie lęka się gniewu rodziców lub drwin kolegów. Zdarza się jednak, że pragnie wydać się lepszym lub gorszym. Ale psycholog jest przygotowany i na taką ewentualność.

A potem następuje badanie przy pomocy testów i przyrządów. Bada się jego zdolności, spostrzegawczość, cierpliwość, zręczność i t. d.

Układanie zdań z oddzielnych słów lub ustawianie liczb w szeregi, może wydać się laikowi dziecinna zabawka. A jednak te „zabawki” są probierzem zamiłowania kandydata i jego uzdolnień. Drobne kulki ołowiane, które należy wrzucić do buteleczki, są sprawdzianem cierpliwości i uwagi. Kandydat wkłada kolejno kuleczki szczypczykami do

Ważne dla pań domu!!

Pełny pokarm roślinny (fosfor, potas, azot)
dla kwiatów i roślin pokojowych
w pastylkach

„TESP”

Użycie 1 pastylki na litr wody do podlewania
wazonów raz na 7 dni, daje

zdumiewający efekt.

Ten konieczny w każdym domu pokarm roślinny, jako środek niezawodny do zasilania kwiatów i roślin pokojowych w cenie 50 groszy za kartonik, zawierający 20 pastylek, jest do nabycia w składach aptecznych, sklepach nasion i kwiatów.

wąskiej szyjki butelki, a stoper nieubłaganie mierzy czas. Inteligencję bada się zapomocą przyrządu, składającego się z ruchomych deseczek, które należy wsunąć między ramię i krążek. Dziewczynka, pragnąca się poświęcić krawiecczyźnie, musi nawlec nitkę w szereg igieł, przytwierdzonych do deski, ułożyć czerwone kawałki tektury na niebieskiej powierzchni i t. d. Przyszli mechanicy otwierają precyzyjne zamki, montują pompy, wkręcają murtury, a stoper ani na chwilę nie ustaje w swojej pracy.

— Dosyc — mówi w pewnej chwili psycholog.

I odbiera kandydatowi przyrząd lub test.

O ile nie wykona zadania w określonym czasie, widocznie nie nadaje się do zawodu, któremu chciał się poświęcić. W innym wypadku nie jest tak inteligentny, za jakiego uchodził w rodzinnym kółku.

Ale psycholog nigdy nie zniechęca kandydata.

— Czy wiesz na czym polega zawód nauczycielki? — pyta dziewczynki, pragnącej się poświęcić nauczycielstwu, której badanie inteligencji dało wynik ujemny.

Okazuje się, że pojęcie kandydatki o obowiązkach nauczycielki jest bardzo mgliste i tylko w słabym stopniu odpowiada rzeczywistości. Wówczas psycholog ilustruje obowiązki nauczycielki pokazem filmowym, prowadzi z kandydatką długą rozmowę, kierując jednocześnie jej zainteresowanie w kierunku, odpowiadającym jej uzdolnieniom.

— Więc tak pracuje nauczycielka? — pyta z rozczerwieniem dziewczynka.

— Osiągam zawsze bardzo dobre rezultaty, o ile uda mi się nakłonić badającego, aby zastosował się do moich wskazówek — powiedział psycholog jednej z warszawskich poradni.

Po skończonem badaniu dziecka następuje rozmowa z jego rodzicami. Czasami trudno z nimi walczyć,

gdy np. zmuszają córeczkę do zdobycia matury, chociaż jej zdolności i zamiłowania nie sięgają wyższej uczelni!

Aby ukształtować duszę dziecka i pomóc mu w wybraniu właściwego zawodu, konieczna jest zgodna współpraca poradni z rodzicami.

Poradnie psychologiczne i psychotechniczne znajdują się u nas prawie w każdym większym mieście. W Warszawie istnieje Poradnia Zawodowa dla dziewcząt i chłopców Obywatelskiej Służby Kobiet, ulica Wspólna 81; Instytut Psychotechniczny, Mokotowska 51/53; Poradnia Psychologiczna, Nowogrodzka 7, kilka poradni miejskich i Poradnia przy Związku Zawodowym Nauczycieli szkół żydowskich w Polsce, Przejazd 11 i wszystkie stoją na bardzo wysokim poziomie.

W 1928 roku istniało w Stanach Zjednoczonych Ameryki 470 poradni, noszących nazwę „Polikliniki Higieny Psychiczej”. Wiedeń posiadał w 1931 r. aż 32 poradnie. Ilość poradni u nas jest jeszcze znikomą. Ale miejmy nadzieję, że stale wzrastać będzie liczba tych użytecznych placówek. I wierzę, że nadejdzie wreszcie dzień, w którym nie będzie złego inżyniera, niezdolnej krawcowej i nieodpowiedniej nauczycielki!

St. Osińska.

NAUCZYCIELKI FRANCUSKIE MUSZĄ BYĆ DOBREMI GIMNASTYCZKAMI.



Rząd francuski kładzie silny nacisk na wychowanie fizyczne nauczycielek szkolnych, które powinny czuwać nie tylko nad rozwojem umysłu, ale i ciała powierzonej ich kierunkowi młodzieży. Na zdjęciu widzimy ćwiczenia, wykonywane przez grupę nauczycielek, w obecności podsekretarza Stanu Oświaty Narodowej.

NASZ LEKARZ

Szpital czy lecznica prywatna?

Lud wiejski odnosi się do szpitala raczej niechętnie. Więcej ma zaufania do znachorstwa. Przewszystkiem dlatego, że wierzy w skuteczność „niewinnych” środków domowych, a pojęcie doktora i szpitala łączy obowiązkowo z nożem chirurga, amputacją i t. d. Dlatego też człowiek wiejski, który przebywał na leczeniu w szpitalu, cieszy się pewnego rodzaju sławą bohaterską, gdy do swej wsi powróci. Inna rzecz, że pacjent wiejski rozkoszował się w szpitalu takimi warunkami, jakich przez całe swe życie nie zaznał i nie zazna. Zwłaszcza młodociani chorzy powracają ze szpitala nie tylko wyleczeni z danej choroby, ale również wzmocnieni i odżywieni. Regularny tryb życia i właściwe odżywianie choćby tylko przez kilka tygodni wywierają niesłychanie dodatni wpływ na anemiczny organizm. Wikt szpitalny, na który tak narzeka burżuazja wielkich miast, dla ludzi wiejskich da się porównać tylko ze smakowitą kuchnią żołnierską i jako temat rozmowy powraca bardzo często w domowych pogawędkach.

Sam t. zw. nastrój szpitalny dla ludzi prostych również jest mniej przykry, niż dla inteligencji. Człowiek niewysubtelniony przez kulturę odnosi się do cierpienia innych raczej z ciekawością. Szuka w niem motywu sensacji. Zagadnienie życia i śmierci bierze poprostu, fatalistycznie. Stąd, jeśli jest np. świadkiem czyjejś śmierci, więcej interesuje się umarłym, niż bada stopień rozpaczy tych, którzy zostali przy życiu. Brak kultury ma też swoje dobre strony.

Polski lud wiejski jest cichy i potulny. Godzi się z cierpieniem i wiele trzeba, aby chorego, czy chorą, lub ich rodzinę, wyprowadzić z równowagi. Autentyczny fakt, gdy osierocony mąż grubiańsko zwymszał zakonnicę w jednym z warszawskich szpitali za to, że bezpośrednio po śmierci żony starała się go pocieszyć, mniej więcej w ten sposób: „Nie będzie ta, to będzie inna” — jest raczej odosobniony. Mniej czy więcej opryskliwy wyrok lekarza o życiu czy śmierci bliskiej osoby, rodzina chorego przyjmuje zwykle spokojnie. Również rzadko się zdarza, aby gwałtownie przynaglono szpital, czy lekarza do wykonania zabiegów, mających przynieść ulgę choremu. Ze zbytnej niecierpliwości, nawet najniecierpliwszych wyleczyły już dawno Kasy Chorych.

Na wsi Kas Chorych niema. Niema też „leczenia na zapas”, co z powodzeniem uprawiają niektórzy ubezpieczeni w miastach, wtajemniczeni dokładnie w procedurę zapisów, przyjęć i wszelkich sposobów, umożliwiających korzystanie z porady w Kasie Chorych. Człowiek wiejski musi być poważnie chory, żeby chciał swoją osobą inkomodować szpital. Zwykle wiozą go do miasta wtedy, gdy tylko szybki ratunek mógłby go jeszcze ocalić.

Dziś trzeba to stwierdzić z całą powagą, ludność wiejska ma dostęp do szpitali prawie całkowicie zamknięty. Szpitale w miastach prowincjonalnych posiadają najmniej połowę wolnych łóżek, ale chorych ze wsi nie przyjmują.

Kilka lat trwający kryzys spowodował powszechną niewypłacalność chorych i tych, którzy za leczenie ich kosztą ponosić powinni. W szpitalach powstały zaległe rachunki na setki tysięcy złotych. Ustawa z 1931 roku umorzyła wszelkie zaległości z tytułu leczenia ubogich chorych, na t. zw. koszt gminny. Gminy jednak i bieżących rachun-

ków płacić nie mogą i od roku 1931-go po dziś dzień znów powstały duże zaległości. Obecnie więc szpitale, ratując swój byt, przyjmują tylko takich chorych, którzy mogą opłacić naprzód za dwutygodniowy pobyt. Jeśli są ubezpieczeni w Kasie Chorych, muszą natychmiast złożyć odpowiednie oświadczenie Kasy Chorych. Znam wypadek, gdy szpital nie chciał przyjąć chorej, która złamała na ulicy nogę i została przywieziona przez córkę natychmiast po wypadku dorożką do szpitala, dlatego, że panie te, choć ubezpieczone, nie miały ze sobą odpowiednich zaświadczeń z Kasy Chorych. Trudno jednak, wychodząc na zwykłą przejażdżkę, naprzód przewidywać nieśczęśliwy wypadek i zawczasu zaopatrywać się w potrzebne dokumenty.

Dziś chłop wiejski rzadko kiedy posiada w domu kilkadziesiąt złotych, które mógłby natychmiast złożyć w kasie szpitala za dwutygodniowy pobyt. W tej chwili zresztą mówię o tej najbiedniejszej ludności wiejskiej, za którą koszty leczenia ponosiły gminy. Dziś sytuacja jest taka, iż szpitale prowincjonalne zamknęły swe podwoje najbiedniejszej ludności wiejskiej. Nie wystarcza najwłaściwiej napisane zobowiązanie gminy, że przysłany za chorego rachunek ureguluje w przyszłości. Wogóle zobowiązanie takie nie jest wcale brane pod uwagę, gdy intendent szpitala sprawdzi, że od danej gminy należy się już pewna niezapłacona suma. Chory musi wracać z niczem do domu, bez względu na to, czy przywieziono go cztery, czy czterdzieści kilometrów. Jeszcze stosunkowo częściej przyjmowani są mieszkańcy najbliższych od szpitala gmin, gdyż łatwiej od nich podatek ściągnąć. Dalsze gminy są pozbawione możliwości leczenia szpitalnego. — „Niech się leczą w swoich szpitalach rejonowych” — mówią kierownicy szpitali wojewódzkich. Jest to teoria, gdyż tych szpitali rejonowych jest niewiele, zresztą leczenie w nich niezawsze bywa skuteczne. Brak sił fachowych i środków. Zdarza się, że chorego, leczonego w szpitalu rejonowym na powikłane złamanie nogi, trzeba, z powodu komplikacji, przewieźć po kilku miesiącach do miasta wojewódzkiego i tam często nogę łamać na nowo i leczyć właściwie. Wówczas chory przeważnie już nie płaci. Ma gotową wymówkę: „Leczyli mnie w tamtem miasteczku źle, ale pieniądze brali. Dziś ja już więcej nie mogę płacić”.

Kryzys zniekształcił wzniosłą ideę szpitalnictwa. Nędzarze miejscy i wiejscy tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności mogą się dostać do szpitala. Szpitale zamiast nieść pomoc najuboższym przekształcają się w prywatne lecznice. Biedacy uciekają się więc do wyrafinowanych sposobów. Przekonano się, że szpital musi przyjąć ciężko chorego, którego przewiozło pogotowie ratunkowe. Teoretycznie za chorych z pogotowia płaci magistrat. Zdarzają się więc wypadki, że bliskie rozwiązania kobiety wiejskie idą czasem i kilkanaście kilometrów do miast, na ulicach symulują, względnie zmęczone drogą naprawdę zaczynają rodzić. Pogotowie odwozi je więc do szpitala. Jest to prawie jedyny wypadek, kiedy szpital niesie pomoc, nie pytając o papiery desperatki. I tu jednak zdarzają się nadużycia. Bywa, że „panna z dobrego domu” zbłądziła i nie chce szpitalowi zdradzić swego nazwiska. Kartkę z nazwiskiem umieszcza w zapieczętowanej kopercie, zapewniając, że po odbyciu słabości, wychodząc ze szpitala, zapłaci napewno. Okazuje się, że nie ma zamiaru płacić.

Oszustwo z premedytacją. Policja. Sąd. I jeszcze większy skandal „panny z dobrego domu”.

Wdaję się w rozmowę z p. intendentem dużego, nowoczesnie urządzonego szpitala. Wiem, że szpital posiadał znaczny majątek. Dziś więcej niż połowa łóżek jest wolnych.

— Sytuacja nasza — mówi p. intendent — jest niesłychanie trudna. Wierzytelności i długów mamy mnóstwo. Chorych niewiele, zato tylko płatnych. Personel jednak musimy utrzymywać w komplecie. Teraz nawet zwiększymy go o kilka osób, gdyż związek pracowników zażądał, aby po 60-godzinnym, sześciodniowym tygodniu pracy każdy pracownik otrzymywał dobę trwający urlop. Niema tu znaczenia, że personel nasz nie pracuje nawet połowy tego czasu. Dotąd świadczenia na rzecz Kasy Chorych za swych pracowników ponosił sam szpital. Obecnie z racji nowej stawki świadczeń w Ubezpieczalni Społecznej zażądaliśmy od personelu wpłacania przez nich ustawowej części składek. Podniósł się wielki gwałt i delegacja pracowników poszła ze skargą do inspektora pracy, że szpital obniżył im pensje!

Najcięższa jest sprawa z żywą gotówką. Operujemy walorami, których nie mieliśmy w ręce. Np.



Kasa Chorych winna nam jest za leczenie powiedzmy 1.000 zł. Naturalnie gotówki nie mają. Ale mogą na nas przelać swoje wierzytelności. Ten przelew zaś my z kolei dzielimy pomiędzy naszych wierzycieli. Województwo winne nam jest kilkadziesiąt tysięcy złotych. Przyjmujemy je w postaci Pożyczki Narodowej, którą znów w formie wynagrodzenia za pracę damy naszym lekarzom”.

Szpital nie obsługuje dziś szerokiego ogółu potrzebujących. Poszły za swym instynktem samozachowawczym. Trudno im się dziwić, ale z drugiej strony trzeba sobie uprzytomnić, że w tej dziedzinie kryzys godzi w cierpienie i ból człowieka.

Hanna Koryzna.

HIGJENA KOBIETY

Organizm kobiety w związku z rozmaitymi okresami życia wymaga przestrzegania pewnych specjalnych przepisów i zabiegów higienicznych, które są dla należytego rozwoju i zdrowia wręcz niezbędne. W życiu kobiety odróżniamy trzy zasadnicze etapy rozwojowe: 1) na przełomie dzieciństwa okres dojrzewania, 2) epokę dojrzałości płciowej i przypadające na ten czas ciążę, porody i poronienia oraz 3) okres przekwitania z chwilą ustania działalności gruczołów płciowych. Każdy z tych okresów wyróżnia się specjalnymi cechami, nadającymi kobiecie charakterystyczne piętno. W związku z tem stoją pewne przestrogi i zabiegi higieniczne życia codziennego, oraz skłonność do tych lub innych chorób. Psychika kobiety jest też inna w każdym z tych etapów życiowych.

Okres dojrzewania rozpoczyna się z chwilą wystąpienia pierwszej miesiączki, co się zaczyna w naszym klimacie i u naszej rasy około 13—14 roku życia i trwa do jakiegoś 17—18 roku życia. Na południu i u ras południowych zamieszkałych u nas zjawisko to zjawia się zwykle wcześniej. Doniosłe zmiany fizjologiczne, rozpoczynające się wtenczas w organizmie, wyznaczają kierunek zwrotu w całej psychice dziewczynki z tego okresu życia. Najważniejsze z nich zachodzą w gruczołach dokrewnych, t. j. takich, wydzieliny których t. zw. „hormony”, nie wydostają się na zewnątrz organizmu, lecz przechodzą do krwi i krążą w całym ciele. Dopiero te

raz zaczynają te gruczoły intensywną działalność wydzielniczą, ich hormony zaś wywierają silny wpływ na cały organizm, powodując zmiany w budowie ciała i oddziaływując na wszystkie prawie funkcje fizjologiczne, między innymi i na czynności układu nerwowego.

Pod wpływem tych bodźców dziewczynka staje się rozdrażniona i przeczulona. Jej nerwy znajdują się stale, jak się potocznie wyrażamy, w stanie silnego napięcia. Całe psychiczne życie przybiera zupełnie inny wygląd. Nowe procesy fizjologiczne wzmagające stopniowo swoją siłę dochodzą do świadomości dziecka w postaci mglistych wrażeń ustrojowych i niejasnych, ale przykrych wrażeń uczuciowych. Dziewczyna nie rozumie naturalnie tych zmian, jakim jej organizm podlega i nie umie sobie ich wytłumaczyć. Jest tylko niespokojna, rozdrażniona, słaba i niezadowolona z siebie i z drugich. Drobne, nie miłe zdarzenia życia codziennego odczuwa boleśnie, wszystko ją drażni, irytuje, a poradzić sobie nie potrafi. Stąd w psychice powstaje przykre poczucie własnej bezradności i bezsilności. Odczuwając, że dzieje się coś niezwykłego, traci ona równowagę ducha i wpada w wewnętrzną rozterkę. Stany te znajdują swój zewnętrzny wyraz w pewnej dzikości i zuchwalstwie, o ciągłym przeciwstawianiu się drugim, krnąbrności i ustawicznym zaprzeczaniu. Młode dziewczynki wykazują w okresie tym obojętność i brak serca dla rodziców i wycho-

wawców, stają się złośliwe i dokuczliwe. Przykre stany wewnętrzne prowadzą od czasu do czasu do pozornie nieuzasadnionych wybuchów, dających się jednak wyjaśnić przyczynami fizjologicznymi. Łagodność i współczucie to jedyne sposoby postępowania rodziców z córką w tym okresie życia. Nowy fakt fizjologiczny: pierwsza miesiączka rozpoczyna okres dojrzewania w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Życie psychiczne w okresie dojrzewania okazuje cały szereg cech charakterystycznych. Dominującą rolę zaczynają odgrywać uczucia i pragnienia. Główna przyczyna rozkwitu uczuć leży w działalności omówionych powyżej hormonów, które obecnie wywołują nie tylko rozwój różnorodnych cech płciowych, lecz także działają w dalszym ciągu na system nerwowy, chociaż organizm już się do nich częściowo przystosował. Powstają wtedy w świadomości jakieś niejasne, nieokreślone popędy, z których stopniowo wykrystalizowuje się popęd płciowy, początkowo w niejasnej, mglistej formie bezprzedmiotowych tęsknot, potrzeby przyjaźni i tkliwości. Towarzyszy temu wszystkiemu skutek przeczulenia systemu nerwowego brak zrównowżenia i harmonii w życiu uczuciowym. Łatwo skonstatować przesadę w samych uczuciach i w ich wyrazach zewnętrznych. Słabe, błahе pobudki wywołują zupełnie nieproporcjonalne afekty i nastroje. Przesadne zachwyty lub nieoczekiwana pogarda, radość i zapał lub kom-

pletne zniechęcenie występują bez wyraźnego powodu. Te objawy psychiczne mogą nieraz drażnić i razić rodziców, proste ich zrozumienie i ujęcie, jako wpływających z przyczyn fizjologicznych i przejściowych pozwoli łatwo ustosunkować się do nich szczerze, prosto i tolerancyjnie.

W stosunku do drugiej płci są to lata nieśmiałości i wstydu, wtedy jednak występować zaczynają zupełnie wyraźnie oznaki chęci podobania się. W stosunkach wzajemnych dziewcząt i chłopców występuje więc w tym okresie wyraźne przyciąganie się połączone jednak z dużą dozą nieśmiałości i obawy.

W życiu intelektualnem spotykamy też zupełnie nowe formy, występuje tu rozwój zdolności spekulatywnych, pojęć ogólnych i abstrakcyjnych, zjawiają się sądy o wartościach, ale wszystko to pozostaje w ścisłym związku z życiem uczuciowym. Fakt ten powinni sobie też dokładnie uświadomić rodzice, wychowawcy i nauczyciele w celu odpowiedniego i sprawiedliwego postępowania z córką i dostosowania wymagań naukowych do psychiki uczenicy w danym okresie. Nonsensem jest wymagać więcej niż to, na co jest w stanie zdobyć się umysł dziewczynki w tym okresie rozwoju. Trzeba też pamiętać, jak silnie oddziałują wtedy różne wpływy z zewnątrz — lektura, teatr, kino, tańce i t. p. Niemożliwością jest całkowita izolacja dziewczynki od spraw tych, otaczających ją ze wszelich stron. Tego rodzaju wychowanie byłoby niejako podobne do zachowania się strusia, kryjącego tylko głowę przed groźbą, mu niebezpieczeństwem. Zabezpieczenie córki od złych wpływów zewnętrznych takim umieszczeniem, jakby w klatce, jest logicznie niemożliwe i mogłoby przynieść wręcz fatalne skutki, kiedy dziewczynka zetknęłaby się kiedyś z życiem rzeczywistym. Trzeba więc tylko taktownie i umiejętnie wpływy te modyfikować i unieszkodliwiać.

Przechodząc teraz do zmian w budowie ciała kobiety, które powstają w wieku dojrzewania, wymienić należy w pierwszym rzędzie: kostnienie szkieletu, zaokrąglenie kształtów, typowe dla kobiety dorosłej, powiększenie się piersi, których brodawki wydłużają się i ciemnieją, pod pachami i w okolicy łonowej pojawiają się włosy. Twarzyczka stopniowo zatracą typ dziecienny i oczy nabierają blasku.

W tym czasie ważne znaczenie ma noszenie odpowiednich staników podtrzymujących i obciskających odpowiednio piersi, zwisanie ich bez podtrzymania prowadzić może do zwiotczenia i obwisania, co, pomi-

nawszy już względy estetyczne, może być niepożądane przy karmieniu. Zimne natryski robią piersi jędrnemi i wpływają korzystnie na rozwój mięśni, a nie tkanki tłuszczowej. — Ostrzec należy przed zbyt niemiernym obciskaniem piersi, co jest szkodliwe dla oddychania.

Jednocześnie dopełnia się rozwój narządów płciowych wewnętrznych i z chwilą jego zakończenia, kiedy jajniki zaczynają wytwarzać jajka, pojawia się pierwsza miesiączka, czyli wypływ krwi z narządów rodnych. Zjawisko to bywa niejednokrotnie powodem przestachu, jako objaw poważnej nieznannej choroby u tych dziewcząt, które o tem przedtem uprzedzone i uświadomione nie zostały.

Tu właśnie nastaje moment uświadomienia dziecka dojrzewającego o sprawach płci. Jest to kwestja bardzo trudna i sporna, dyskutowana niejednokrotnie wśród rodziców, nauczycieli i lekarzy, jak i kiedy uświadamiać. Dotychczas poglądy są podzielone, jedni są za bardzo wczesnem uświadomieniem dzieci jeszcze zupełnie małych, inni chcą, żeby uczyniła to szkoła, nauczyciele, albo lekarze szkolni, inni uważają, że powinny to zrobić matki. Życie samo nastręcza tyle sposobności do wyjaśnień w tym kierunku, że trudno zaiste byłoby ustanowić ten lub inny moment, ten lub inny sposób, traktowane to musi być wysoce indywidualnie, zależnie od właściwości dziewczynki, od stopnia zaufania, jakim darzy matkę i t. p. Najczęściej dotychczasowe, tak zwane uświadomienie, dokonane zostaje przez koleżanki, służące, znajome i t. p. i córka przychodzi do matki po ewentualne sprostowanie i sprawdzenie wiadomości.

W każdym bądź razie wystąpienie miesiączki wymaga objaśnienia o tem, skąd ona pochodzi, o jej absolutnej nieszkodliwości i o niemożności uniknięcia tego u wszystkich dorosłych kobiet powszechnego objawu. Uczynić zawsze to należy w sposób spokojny, rzeczowy i naukowy, dołączając przytem zasadnicze wskazania higieniczne, w tym okresie obowiązujące.

Miesiączkowanie nie jest bynajmniej objawem lokalnym, lecz można ją uważać, jako część składową ważnych funkcjonalnych zjawisk przebiegających w organizmie kobiecym w postaci przyływu i odpływu, wzmoczenia i nasilenia, podniesienia i upadku. Ten falisty ruch dotyczy ciepłoty ciała, ciśnienia krwi, siły mięśniowej, pojemności płuc i t. p. zasadniczych czynności życiowych. Natężenie takowych osiąga największą siłę bezpośrednio przed rozpoczęciem się krwawienia, żeby spaść do minimum podczas

Nasze perfumy uznane za najlepsze!

KALIA • BELTISTAN • BAROC
ostatnie nasze nowości
PADY
FU SHU
KRISHNA J. & S. Stempniewicz
Poznań

jego trwania, po skończeniu miesiączki następuje ponowne wznieśnienie. Najwyższy punkt wzmoczenia pobudliwości nerwowej przypada jednak właśnie na okres krwawienia. Takie faliste zmiany czynności fizjologicznych trwają w ciągu całego tego okresu życia kobiety od pierwszej do ostatniej miesiączki, a podczas ciąży zachodzą znów zmiany innego rodzaju.

Bezpośrednim powodem krwawień miesięcznych jest przekrwienie narządów rodnych miejscem zaś, skąd się wydziela krew, jest macica, a właściwie wyścielająca ją błona śluzowa. Z rozszerzonych naczyń krwionośnych tej ostatniej przechodzą nazewnątrz czerwone ciała krwi, czasem pękają nawet te naczynia. Cała zewnętrzna powierzchnia śluzówki macicznej ulega wskutek miesiączki odnowieniu i niejako odmłodzeniu. Bezpośrednio związane z miesiączką jest wydzielanie jajek, oba te zjawiska stoją w związku z wydzielaniem wewnętrznym jajników, które oprócz wytwarzania jajek, wydzielają jeszcze do krwi pewne „hormony“, jako gruczoły wydzielania wewnętrznego.

Doświadczenia robione na małpach wykazały, że o ile wyciąć jajniki u małp i przeszczepić je na jakimś innym miejscu ciała, to jednak miesiączka nadal występowała, widocznie działały tu wydzieliny tych gruczołów drogą naczyń krwionośnych. Krew wydzielająca się podczas miesiączki jest obficie zmieszana ze śluzem, przeważnie bywa płynna, o ile zaś wydzielają się skrzepy, to mamy tu już do czynienia z pewną nieprawidłowością, wymagającą porady lekarskiej. Trwanie tego zjawiska powtarzającego się z reguły co 28 dni wynosi 3—4 dni. Początek bywa stopniowy, najwyższe natężenie co do ilości przypada na 2 dzień, potem stopniowo się zmniejsza. Ilość przeciętna krwi od 1/2 do 2 szklanek, na południu jest ona większa, w krajach północnych mniejsza. Małe zmiany co do czasu pokazywania się miesiączki są bez znaczenia. W początkach pierwsze miesiączki bywają zwykle mocno nieregularne, spotykamy nawet przerwy kilkomiesięczne, świadczy to przeważnie jednak o słabości organizmu i błednicy.

Dr. Luniewska.

Estetyczna opalenizna

Wiosenne słońce przynosi nam nie tylko zdrowie, ale i ładny wygląd. Pod wpływem jego promieni wyglądamy czerstwiej i piękniej, jednakże przesiadywanie na słońcu powinno być ujęte w pewne ramki, odpowiednie dla każdego osobnika, albowiem zawsze należy się liczyć z warunkami zdrowia. Są bowiem cierpienia, jak np. gruźlica, miażdżyca, a także niedomogi serca, z którymi należy zawsze się liczyć przy stosowaniu kąpieli słonecznych ze względu na możliwość pogorszenia stanu zdrowia. W takich wypadkach obowiązkowo należy udać się do lekarza, by ten zaopiniował i pouczył, w jaki sposób można i należy korzystać z dobrodziejstw promieni słonecznych.

Ale i mniejsze niedomogi, jak np. pewne braki lub też właściwości naszej skóry w ogólności, w szczególności zaś cery stawiają nam pewne wymagania przy opalaniu się. Dzisiaj, w przeciwieństwie do czasów, w jakich żyły nasze babcie, staramy się o to, by słońce wyzłociło naszą skórę. A staramy się o to nawet i zimą, prześcigając się w tem, która z nas powróci z wywczasów letnich ze skórą twarzy więcej brązową, a tem samem wyglądającą zdrowiej. Wszelkie próby interwencji mody, ażeby utrzymać piękną białą cerę, nie wytrzymują krytyki i nie dają się wprowadzić w życie, i tylko osobnicy skłonni do piegów i plam wszelkimi sposobami starają się ukryć przed działaniem słońca.

Przy opalaniu się odgrywa dużą rolę kwestja *równości opalenizny*. W tym względzie tłuszcze odgrywają dominującą rolę. Nie należy też uganiać się za szumnie reklamowanymi preparatami, olejkami lub też

kremami, albowiem mogą one zawierać w sobie trujące składniki dla całego organizmu lub też drażniące miejscowo skórę. W wielu wypadkach wystarczy wcieranie świeżego dobrego śmietankowego masła, śmietanki lub też jakiegoś olejku, chociażby migdałowego lub orzechowego, który szczególnie zalecany jest dla cery suchej.

Na cerę niezdecydowaną co do suchości dobrym środkiem jest *kałowe masło*, które ma prócz dobrego działania jeszcze dodatnie cechy zewnętrzne, a mianowicie przyjemnie pachnie i nie brudzi ubrania, a także trudniej się rozkłada, aniżeli inne tłuszcze, pod warunkiem jednak, że przechowywać go będziemy w chłodnym miejscu.

Pod wpływem działania promieni słonecznych niektóre cery nabierają barwy ciemno-brązowej, inne złocistego odcienia, właściwego pomarańczom, w innym znów wypadku skóra staje się cudownie smagłą lub też przyjmuje odcień brzoskwiniowy. Zdarza się jednak, że opala się ona brzydko, czy też przyjmuje nieładny odcień, jak np. czerwony lub też popielaty, lub wreszcie zabarwienie nie jest jednakowe w swej intensywności.

Na pierwszy rzut oka takie opalenie szpeci. Jednak bez poprawiania odcienia zabarwienia możemy poradzić sobie przy pomocy pudru i pomadki, a także i niewielkiej ilości różu.

Pudru należy wówczas używać nieco ciemniejszego, niżeli zwykle, pamiętać bowiem należy, że jasny puder, a szczególnie o odcieniu różowo-liljowym, nadaje skórze opalonej zabarwienie fioletowe lub też popielate. Przy opalaniu się z odcieniem czerwonym należy stosować puder kremowy bez domieszki różu. Dla cery matowo-smagłej odpowiednim będzie puder różowawy, albowiem ożywi on ją i nawet odmłodzi.

Co się tyczy *różu*, to przy opaleniznie jasnej z odcieniem pomarańczowym odpowiednim będzie kolor jasno-czerwony, a nawet ceglasty. Przy opaleniznie ciemnej należy stosować różę ciemniejszą, a niekiedy amarantową. Również i *pomadki* do ust powinny mieć odpowiedni dla danego odcienia skóry koloryt, przyjmując pod uwagę, że barwione usta przy opaleniznie wyglądają bardziej kolorowo, a wobec tego należy malować je ostrożniej i subtelniej.

Również *kolor sukni* powinien być odpowiednio dobrany do odcienia opalenizny. Tam np. kolor biały i ponsowy podnoszą i uwydat-

Dla ochrony przed gripą
zapaleniem gardła i zaziębieniem
używaj



Do nabycia we wszystkich aptekach.

niają złocisty odcień skóry twarzy. Przy odcieniu różowawym odpowiednim kolorem sukni będzie srebrzysto-popielaty. Kolor błękitny i jasno zielony jest kolorem odpowiednim dla cery ciemnej. Najładniej przy opaleniznie jest w kolorze żółtym, pomarańczowym lub też bananowym. Należy jednak tych kolorów unikać przy opaleniznie pozbawionej rumieńca. Z ciemnych kolorów do twarzy jest w brązowym i ciemno-zielonym. Poza tem ładnie harmonizują z opaloną skórą materje deseniowe o śmiałych i bardzo kolorowych zestawieniach.

Co do *koloru włosów*, to należy pamiętać, że opalenizna ładnie robi jasnym blondynkom tylko wtedy, gdy włosy przyczesane są gładko bez loczków.

Dr med. Zofja Rostkowska.

Odpowiedzi kosmetyczne

Marylce. Niestety jest to kuracja dość długa i wymagająca pobytu Pani w miejscu zamieszkania lekarza, który się podejmie leczenia braków, o których Pani wspomina.

Kaliszance. Powinno wystarczyć stosowanie codziennych przemywań ciepłą wodą z dodaniem łyżeczki soli i sody do jedzenia na irygator ciepłej wody. Gdyby poprawa nie następowała, należy się zwrócić do specjalisty, albowiem możliwa jest głębsza przyczyna. W wielu wypadkach stany anemiczne odgrywają tu dominującą rolę.

Kazimierz W. Szczotkowanie 2 razy dziennie może tylko zrobić dobrze. Należy tylko pamiętać, że po zabiegu powinna Pani odczuwać przyjemne ciepło, nigdy zaś bólu skóry. Mycie uzależnione zawsze jest od stanu natłuszczenia się włosów. Zbytnie wysuszenie bezwzględnie nie może szkodzić. W wypadkach suchych włosów powinno się je natłuszczać chociażby: „Olejku ze słodkich migdałów 100,0 gr. wosku i spermacetu po 4,0 gr., gliceryny 10,0 gr., i olejku różanego 0,1 gr.” (Gaston).

Z. M. w Krakowie. Zazwyczaj jest to olejek orzechowy. Zabarwienie i zapach jest bez żadnego wpływu. Jeden ze znanych preparatów, mający bardzo duże wzięcie jest np. zwykłym olejem wazelinowym. Proszę więc mieć to na uwadze i nie wyszukiwać nadzwyczajności. Cały szereg preparatów zawdzięcza swój duży zbyt tylko reklamie.

Dr. Zofja Rostkowska.

HUMOR U OBCYCH.



U jasnovidza. — Chciałbym zapytać o coś ducha mojej żony, ale wolalbym jej nie widzieć...

(Marianne).

Nobieta w świecie i w domu

JAPOŃSKA NARZECZONA ABI- SYŃSKIEGO KSIĘCIA.

Dwudziestodwuletnia hrabianka Masako Quaoda, zaręczona z siostrzeńcem abisyńskiego cesarza, chętnie pozwala się filmować. Widzimy ją w stroju narodowym na dziedzińcu jej rodzicielskiego domu przed aparatem filmowym.



MARYSE HILZ W JAPONII.

Słynna lotniczka francuska, Maryse Hilz, po swoim drugim locie z Francji do Japonii wylądowała w kraju wschodzącego słońca.

Na zdjęciu widzimy ją w towarzystwie francuskiego attaché wojskowego i Japończyków po zwiedzeniu świątyni.

IDEAŁ PIĘKNOŚCI NA ROK 1935.

Na wszechświatowym kongresie piękności w New-Yorku wybrano pannę Marien Presce na wzór piękności na rok 1935. Proporcje jej twarzy i postaci zostały dokładnie zanotowane w centymetrach, aby wszystkie przyszłe konkurentki mogły dowiedzieć się, o ile bliskie są ideału piękności niewieściej.



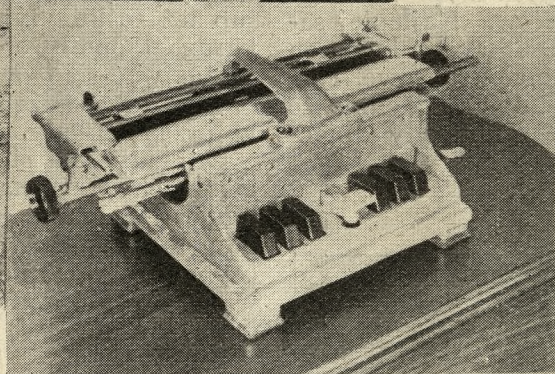
KOBIETA ODKRYWA ZARAZEK ŚPIĄCZKI.

Pani doktor Margaret G. Smith, asystentka przy katedrze patologji w szkole w Saint-Louis (Missouri), dokonała niezwykle ważnego odkrycia naukowego. P. Smith udało się odizolować zarazek śpiączki i wykazać w ten sposób naukowo, że przyczyna tej choroby, która czyni tak wielkie spustoszenie, jest związana z pierwiastkiem organicznym.



DZIEŃ NIEMIECKIEGO DZIECKA I MATKI.

Dn. 8 kwietnia obchodzono uroczyste w Berlinie święto niemieckiego dziecka i matki. Na wszystkich większych placach zebrały się matki z dziećmi i uformowały pochód przez miasto pod ukwieconymi transparentami z nieodłączną swastyką.



TOALETY NA WYŚCIGACH W AUTEUIL.

Oto kilka najmodniejszych kreacyj wiosennych, które przywdziały paryskie eleganki na wyścigach w Autuil.

MASZYNA DO PISANIA DLA OCIEMNIAŁYCH.

Amerykańskie Towarzystwo Opieki nad ociemniałymi, rozpowszechnia wśród nich świeżo wynalezioną maszynę do pisania z alfabetem Braille'a.



OGRODNICTWO I HODOWLA

Wybór trwałych roślin do obsadzenia domu

Do trwałego obsadzania ścian mamy również wiele pierwszorzędnych roślin jak róże, wszelkie odmiany wina, bluszcze, clematis, caprifolium i t. p. Wielka szkoda, że tak mało ludzi ma tę ambicję, aby ich domek tonął w zieleni, bo jakże inaczejby wyglądał wtedy nasz kraj.

Wielką przeszkodą do szerokiego rozpowszechnienia się trwałych pnączy jest niczem nie uzasadniony, a jednak głęboko wkorzeniony przesąd że razem z temi roślinami zaprowadzamy wilgoć. Nie może być fałszywszego sądu.

Rośliny rozpięte na murach nie tylko nie sprowadzają do domu wilgoci, ale przeciwnie osuszają go, czerpiąc dużo wody z pod fundamentów i wyziewając ją przy pomocy liści.

Na pierwszym miejscu postawimy tutaj królowę kwiatów — różę.

Pnące odmiany róż odznaczają się bowiem wielką skromnością co do wymagań i są bardzo łatwe do prowadzenia i oprócz dwukrotnego zasilenia płynnym nawozem, jednorazowego opryskania na wiosnę jakąś cieczą owadobójczą i nakrycia na zimę, nie wymagają od nas niczego. Za opiekę wywdzięczają nam się bujnym kwieciem. Muszą być starannie rozpinane na kratkach.

Domy obsadzone rozrośniętymi krzakami róż sprawiają wrażenie ślicznych bukietów. Najlepiej sadzić je w kontrastowych kolorach np. białe i ciemno purpurowe. Niektóre gatunki róż rosną tak silnie, że dają w jednym roku pędy długo-

ści 3 — 4 metrów. Te pędy przymocowuje się do kraty budynku. W następnym roku na tych pędach pojawiają się krótkie gałązki, niosące olbrzymie bukiety pięknych małych różyczek. Dwa, trzy takie krzewy, które w szkółce kosztują po złote, mogą być przez długie lata ozdobą domu.

Są i takie, które są zupełnie odporne na nasze zimy. Do takich np. należy róża amerykańska „Piękna z Baltimore”, o kwiatach białych, zaróżowionych, która doskonale wytrzymuje nasze zimy bez przykrycia.

Dla róż najodpowiedniejsza jest wystawa południowo - wschodnia. Naogół najodpowiedniejsze odmiany dla obsadzania ścian i murów są następujące: *Rene André*, miedziatoróżowa, *Dorothy Perkins*, kwiat duży, pełny w gronach koloru łososiowo-różowego.

Palyantha, nadzwyczaj obficie kwitnąca. *Eufrozyna* kwiat pełny, czysto-różowy o bardzo delikatnej barwie, lub *Phalia*, kwiat pełny biały w dużych kiściach i inne.

Do okrywania większych przestrzennych ścian nadają się przede wszystkim powojniki *Clematis* w wielu odmianach. Rosną one szybko i mają nietylko piękne liście, ale i śliczne w rysunku kwiaty, które wydają w wielkiej obfitości powojniki, są roślinami bardzo ozdobnymi i nie wymagają od człowieka dużo, a ozdabiają jego siedzibę.

Rozmnażać je można z nasienia, wtedy otrzymuje się nowe odmiany, lub też rośliny typowe, ale jest to bardzo kłopotliwe, to też najlepiej posługiwać się dzieleniem krzaków, lub też przez sadzonkowanie wiosenne przez odkłady.

Odkłady robi się w płytkich zagłębieniach, przypinając lodygi drewnianymi kulkami, gdy z oczek wyjdą pędy na 6 cm. wysokie, należy je osypać dobrą ziemią wraz ze starą wicią. Zwykle już w jesieni lub najdalej w następnym roku pędy odejmujemy.

Krzaki clematis sadzi się do dobrze doprawionej ziemi i na zimę wymagają one okrycia.

Z pośród wielu odmian na czoło wysuwają się przede wszystkim:

1) *Clematis vitalba*, zwykły leśny powojnik, który doskonale zadawała się nawet zachodnią ścianą i obficie kwitnie.

2) *Clematis viticella*, powojnik włoski także bez przykrycia nasze zimy wytrzymujący. Kwiaty duże, niebieskie ukazują się od lipca do października.

Mają rozpowszechniony, ale śliczny i doskonale do obsadzania domów nadający się jest zdrzewiastacz czyli *Gycine chinensis*. Krzew na mro-



Dzikie wino.

zy naszego klimatu wytrzymały. Kwitnie wczesną wiosną, wydając mnóstwo kiści kwiatowych koloru liljowego. Formą kwiatów przypomina akacje. Ściana domu osypana na wiosnę kwiatami glicyjni przedstawia widok czarujący.

Wymaga ciepłej wystawy i pożywnej ziemi. W pierwszych latach po posadzeniu nie zaszkodzi go na zimę okrywać.

Wiciokrzew czyli *Louicera caprifolium* jest to od dawnych czasów znany pnący krzew z subtelnie pachnącym czerwono-białym kwieciem o przedziwnym rysunku — odmiana *Louicera caprifolium* ma kwiat biały, a podczas okwitania żółty. Hodować go należy na południowych ścianach i dostarczać wiele wody.

Ściany północne i zachodnie też nie powinny świecić pustkami, a należy je obsadzać roślinami, które dobrze cień znoszą a więc przede wszystkim wszystkimi odmianami dzikiego wina i bluszczu.

Ten ostatni ma jeszcze i tę zaletę, że skórzane jego liście nie tracą nic ze swej krasy nawet w zimowe zawieruchy i cieszą oczy soczystą zielenią, gdy wicher wyje i śnieg ziemię otula.

Zaletą obu tych roślin jest jeszcze i to, że stanowią ulubione schronienie ptasząt, które w nich setkami przebywają, napełniając powietrze wesołym świergotem. Zarówno bluszcz jak i dzikie wino rosną przez wiele lat, zajmując coraz większe partje murów i nie wymagają prawie żadnej pielęgnacji.

Clematis.



Do okrywania ścian używać będziemy przede wszystkim bluszczu leśnego, lub też wielkolistnego bluszczu irlandzkiego *Hedera helix lubirnika*, który na zimę trzeba nakrywać liśćmi lub mchem.

Dzikię wino pnie się również po murach o własnych siłach, t. j. za pomocą specjalnych „schwytaaczy”.

Należy sadzić silne krzewy co 1 m., a doły pod nie, o ile ziemia jest piaszczysta, muszą być doskonale zaprawione gliną i kompostem.

W pierwszym roku co 2 — 3 tygodnie rozpinamy gałązki przy pomocy łyka w tych kierunkach, w jakich chcemy, aby one szły. Potem już roślina da sobie samą radę, ale zawsze na wiosnę trzeba ją uporządkować, t. j. wyciąć pędy suche lub zbyt liczne i niesfornie rosnące i t. d.

Najładniejszą odmianą dzikiego wina jest bezsprzecznie *A. Veithi*, gdyż rośnie nadzwyczaj szybko i na jesieni wielkie jej liście misternie narysowane mienią się wszystkimi odmianami karmazynu.

Najbardziej skromną co do wymagań będzie *A. quinquifolia*, odmiana najczęściej spotykana.

Pokrewne winu dzikiemu, ale o liściach zupełnie innego kształtu, bo pojedynczych jest wino pachnące *Vitis odoratissima*. Krzew ten również doskonale okrywa północne ściany i rośnie bardzo szybko. Liście jego nie czerwienieją, ale zato wydają bardzo miłą woń.

Kokornakiem *Aristolochia Sipho* jest to powszechnie znany krzew pnący, pochodzenia amerykańskiego. Liście ma koloru jasno-zielonego, olbrzymie, formy sercowatej. Kwiaty niebieskie wielkie nadzwyczaj oryginalne, bo kształtem przypominają fajki.

O wyborze roślin trwałych do obsadzania domu kończę, nie wyczerpawszy tematu a zaledwie go dotknąwszy.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

O winorośli

Cały świat żyje pod hasłem samowystarczalności.

Na całej kuli ziemskiej rozbrzmiewa wołanie: „Kupuj wyroby krajowe”!

W danej chwili chodzi mi o winogrona. W dawnej Polsce istniało wiele winorośli dla wyrobu win mszalnych. Że tak było, wskazują choćby nazwy rozmaitych naszych miejscowości: Winiary, Winniki, Winna Góra, Winnica i t. p.

Wina, produkowane w Polsce, miały smak cierpki i były kwaśne. Natomiast winogrona deserowe produkowaliśmy w pierwszorzędnym gatunku.

Pierwsi zakonnicy zaczęli uprawiać wino rozpinane na kratach, przy słonecznych murach. Uprawa winorośli rozwijała się u nas dosko-

nale do drugiej połowy XIX wieku. Gdy w miarę rozwoju kolejnictwa, zaczęły do nas przychodzić tanie winogrona z Kaukazu, Węgier, Nadrenji i Włoch, ceny winogron kształtowały się tak nisko, że nie opłacała się hodowla rodzima, prowadzona w gorszych warunkach.

Dziś sytuacja ta radykalnie się zmieniła. Winogrona, jako artykuł do pewnego stopnia luksusowy, obłożone są wysokimi cłami, skutkiem tego ceny ich są tak wysokie, że gdyby krajowe osiągnęły o połowę mniejszą cenę, jeszcze i tak opłacałyby się bardzo.

Okolice, położone nad Dniestrem, cały t. zw. Meran Polski, od Halicza do Okopów Świętej Trójcy, równiny południowego Podola i Pokucia doskonale się do tej hodowli nadają.

Tam, gdzie winnice już dawniej istniały, np. w Zagościu nad Nidą, na pagórkach pod Pińczowem, według zdania fachowców nadawałoby się pod winnice i skały wapienne, znajdujące się nad Wisłą. Strone góry pod Sandomierzem, pod Czerskiem i t. d. Oto wszystkie miejsca, gdzie na większą, czy na mniejszą skalę możnaby hodować winogrona.

Dalej wszelkie parowy, wąwozy, których mamy w kraju wiele i, które są hurtem podciągnięte, pod rubrykę: „nieużytki”. Parowy te, odpowiednio zmeliorowane i ujęte, mogą stanowić pewną podstawę do uprawy winorośli, która w nich darzy się doskonale.

Parowy tworzą się na ogromnej przestrzeni u podnóża Karpat, w południowo-wschodniej części Polski, na t. zw. lössach, t. j. ziemiach powstałych z rozkładu skał piaszczystych. Są to ziemie ciepłe, przewiewne, gdzie korzenie wnikają z łatwością do głębszych warstw. Tam, gdzie stale są wystawione na południe, uprawa winorośli ma doskonałe warunki rozwoju.

W całym kraju, pod południowymi ścianami można hodować nawet najdelikatniejsze odmiany winogron. Już na terenie Wielkopolski prawie się nie widuje nago sterczących murów. Wszystkie są odpowiednio wyzyskane. Tam sobie ludzie zdają sprawę, że południowe, południowo-wschodnie, południowo-zachodnie i wschodnie wystawy murów, to bogactwo, którego marnować nie należy.

Również i pędzenie winogron w szklarniach mogłoby się bardzo opłacać. Anglja, Belgja, Jugosławja i Francja rozwinęły tę gałąź produkcji, do wielkich rozmiarów i posiadają setki ha pokrytych szklarniami.

Szklarnie do winogron nie muszą mieć żadnych nadzwyczajnych konstrukcyj. Wystarczą zupełnie proste budynki oszklone, o fundamentach



Caprifolium.

zbudowanych na filarach, tak że korzenie mogą spokojnie rozrastać się na zewnątrz. Hodowla pod szkłem ma jeszcze i tę dobrą stronę, że pozwala przeciągnąć okres sprzedaży na czas dłuższy. Winogrona bowiem posiadają tę właściwość, że można je trzymać na krzaku dłuższy czas po dojrzeniu. Skutkiem tego można je zawsze sprzedać w czasie dobrej koniunktury.

Rozszerzenie uprawy winorośli w Polsce poza korzyściami materialnymi, tak dla naszego bilansu handlowego, jak i dla producenta, dałoby hodowcy poczucie, że spełnił czyn obywatelski, a to dlatego, że ująłby w pewne ramy nowe źródło bogactwa narodowego i wyzwoliłby konsumenta z rąk spekulantów. Handel bowiem owocami południowymi spoczywa w rękach ludzi, którzy stworzyli rodzaj zrzeczenia i dyktują ceny, wyzyskując niemiłosiernie i tak już zbiedzonego konsumenta.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

Gdzie trawa rosnąć nie chce

Miłośnikom szmaragdowych kobierców sen z powiek spędzają puste miejsca pod drzewami, gdzie ziemia jest tak ocieniona, że trawa rosnąć nie chce. Rzeczywiście miejsca takie wyglądają brzydko i nieporządnie, zwłaszcza na tle ogródka, wymuskanego ręką miłośnika.

Zaradzić temu łatwo, obsadzając te miejsca roślinami leśnymi. Materiału dostarczą nam tu wycieczki do lasu. Upatrzoną roślinkę, którą

chcemy z lasu przenieść do ogrodu, wyjmujemy ostrożnie z całą bryłką korzeniową, pakujemy ją tak, aby w drodze jak najmniej ucierpiała, i po powrocie natychmiast zasadzamy. Dalsza pielęgnacja polega na spulchnianiu ziemi i podlewaniu w czasie suszy. Zasilanie nawozami płynnymi można, nawet jest to bardzo korzystne, ale dopiero wtedy, gdy roślinka już się przyjmie i rosnąć zaczyna.

Zasilanie nawozami w okresie, gdy roślina odchoruje zmianę warunków, jest bezcelowe, a nawet szkodliwe.

Rośliny leśne przesadzane zwykle odchorowują, czasem nawet górna część rośliny ginie i potem dopiero odbija od korzeni. Gdy się już raz przyjmą, rosną potem doskonale, bo mają zwykle lepsze warunki, niż w ojczyźnie — lesie.

Oczywiście, nie opłaca się sadzić roślin jednorocznych, a trzeba sięgnąć do bylin zimotrwałych. Wśród nich jest wiele roślin, płożących się, czyli rozścielających swoje pędy płasko po ziemi.

Trzeba z pośród nich wybrać takie, które znoszą cień.

Do nich należy przede wszystkim pospolity w naszych lasach **kopytnik** (*Asarum europaeum*), bardzo odporny na mrozy, bo ojczyzną jego jest Syberja. Liście ma ciemno - zielone, lśniąco, jakby ze skóry wycięte, kształtu kopyta (stąd pochodzi jego nazwa). Szypułki ma krótkie. Raz posadzony, rośnie na tem samym miejscu wiele lat i rozchodzi się coraz szerzej, tworząc zwarty zielony kobierzec. Zaletą jego jest, że liście nie tracą zieleni całą zimę. Przeniesiony z lasu przyjmuje się prawie zawsze, ale często długo choruje, tak dalece, że traci wszystkie liście i odbija dopiero na drugą wiosnę.

Również doskonale nadaje się do tego celu **bluszcz zwykły**, *Hedera Helix*, o drobnych liściach, doskonale zimujący bez przykrycia. Pnie on się ślicznie po wszystkim, co napotyka na swej drodze, jak: mury, ściany i nagie pnie drzew, które przykrywa festonami zieleni.

Wadą jego jest to, że wysysa z nich wilgoć, co zwłaszcza dla owocowych drzew jest szkodliwe. Ale wszelkie zwłaszcza starsze lipy, akacje, kasztany i t. p. znoszą to doskonale. Po ziemi płoży się ładnie i wygląda bardzo dekoracyjnie. Zaletą jego jest, że rośnie niesłychanie szybko.

Znam ogród, gdzie przed kilkoma laty przywieziono gałązkę bluszcza z grobu Słowackiego, jeszcze gdy leżała we Francji. Gałązka ta została przesadzona i pielęgnowana starannie; po 5 latach tak się rozrosła, że zajęła przeszło 10 m² powierzchni.

PIĘGI

**żółte plamy szpecą
nawet najładniejszą buzię.**

Już obecnie, przed wiosennem słońcem i wiatrami należy uodpornić cerę, używając raz dziennie, wieczorem, przed spaniem, sławny, angielski

krem Dr. ORGLEY'a

który nie łuszczy naskórkę, a przenika w głąb skóry, usuwając piegi, żółte plamy w zarodku. Wszędzie do nabycia.

Wyłączna wytwórnia
Parf. d'ORIENT, Warszawa

Wszelkie paprocie są zbyt mało w naszych ogrodach wyzyskiwane, a zasługują na to stanowczo. Są to przecie wyjątkowo dekoracyjne rośliny. Z pośród odmian, nadających się do obsadzania niemi miejsc silnie zacienionych, wymienić należy *Aspidium filix mes*; *Aspidium filix femina*; *Aspidium aculeatum*.

Wszelkie **barwinki** i **widłaki** prezentują się bardzo ładnie i powinny być do tych celów używane.

Stale zielone i bardzo wytrzymałe na przesadzanie są **ślubojawki** (*Tunkia*).

Konwalje, które mają ładną zieloność liści i które się wcześniej na wiosnę rozwijają i dają nam cudne wonne dzwoneczki, czują się w cieniu pod drzewami doskonale i rozwijają pomyślnie.

Oczywiście oprócz roślin, które tu wymieniałam, jest jeszcze sporo bylin, znoszących dobrze cień i płożących się, ale mniej pospolitych — powinny one zainteresować miłośników.

Śliczne, ale mało spotykane są **trawniki z mchów**. Mają tę przewagę nad trawnikami ze zwykłych traw, że prócz podlewania w czasie suszy nie potrzebują prawie

żadnej pielęgnacji. Wyglądają nadzwyczaj efektownie. Mchów istnieje tysiące odcieni zielonych, rudych i białych, kolory te możemy sobie dowolnie kombinować. „Tawniki“ z mchów można zakładać nie tylko w miejscach zacienionych, również i w miejscach niskich i wilgotnych.

Aby móc założyć trawnik z mchów, trzeba się wybrać o kawały darni mchowej na zapuszczone łąki. Wycinać należy kwadraty około 40 cm², następnie starannie oczyścić je z wszelkich porostów, układać równo i ściśle jeden obok drugiego, a potem mocno zwałować lub udeptać po desce.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

Odpowiedzi działu ogrodniczo-hodowlanego

P. Zaharowska, Skolimów. — O zakładaniu kompostów dajemy artykuł w tekście.

P. W. Bartke, Bogucice. — Cięcie brzoskwiń i moreli, należy ograniczyć do minimum i dokonywać go tylko jesienią lub bardzo wczesną wiosną, gdy drzewa są jeszcze w stanie bezwzględniego spoczynku.

Estragon jest to roślina, pochodząca z południowej Rosji i w naszym klimacie rozmnaża się ją z sadzonek. Zielone wierzchołki oraz liście mają ostry smak i silny aromat. Używa się ich do octów, sałatek, kwaszenia ogórków i t. p. Puste place pod drzewami w ogrodzie ozdobnym należy poposażać roślinami leśnymi jak: kopytnik, bluszcz, paprocie, mchy i t. p. — obszerne wskazówki dajemy w tekście.

P. Hornowska, Katowice. — Uprawa winogron w Polsce jest zupełnie możliwa — podajemy artykuł w tekście.

Nawozem ptasim należy *truskawki* zasiląć bardzo oględnie, bo zbyt obfite stosowanie silnych nawozów azotowych może ujemnie wpływać na owocowanie, natomiast bardzo sprzyja rozwojowi łodyg i liści.

P. W. Jodo poczta Trahy. — Z prawdziwą przyjemnością przeczytałam list Sz. Pana, bo z niego widać, iż Sz. Pan jest wielkim miłośnikiem roślin. Niestety na odległość trudno coś radzić, choć nie ulega wątpliwości, iż palma jest chora i nie jest rzeczą wykluczoną, że część liści jest skazana na zagładę. Należy podlewać ją umiarkowanie i codziennie spryskiwać liście, pod żadnym pozorem nie zasilając sztucznymi nawozami i skontrolować, czy na liściach nie ma jakich pasorczytów. Może był jakiś błąd przy przesadzaniu, proszę sprawdzić w poprzednich odpowiedziach uwagi o przesadzaniu palm.

Bez czarny jest nieocenioną rośliną na piaszki i zasługuje na szersze rozpowszechnienie — podajemy o nim artykuł w tekście.

P. Z. Kochanowska. — *Kabaczki*, jest to krzaczasta odmiana dyni, wydająca owoce podługne, uprawia się je zupełnie tak samo, jak dynie.

O TYŁOŚĆ

OSŁABIA SERCE..

Serca otyłych, obłożone tłuszczem, pracują z wysiłkiem, wyczerpują się i wcześniej odmawiają posłuszeństwa.

Zioła Magistra Wolskiego „Degrosa“ zawierają jod organiczny, znajdujący się w morskiej roślinie *Yahanga*, który wprowadzony do organizmu pobudza gruczoł tarczowy do należytej pracy, powodując spalanie nadmiernego tłuszczu. Stosują się przeciwko otyłości i nie wymagają specjalnej diety.

Zioła ze znak. ochron. „**Degrosa**“

do nabycia w aptekach i drogerjach (składach aptecznych).

Wytwórnia Magister E. Wolski, Warszawa, Złota 14 m. 1.

DOM I GOSPODARSTWO



SŁODKA POINTA.

Pointą jadalospisów, ich „słodką pointą”, jest deser. Ale sama „słodycz” nie usprawiedliwia jeszcze racji bytu deseru.

Istnieją dla niego przeróżne prawa: prawo sezonu, prawo doboru, prawo racjonalnego i ozdobnego podania, a wreszcie, to najważniejsze, prawo mistrzowskiego wykonania. Bo deser, tak jak suknia, może być najskromniejszy, ale musi wyjść z pod mistrzowskiej ręki.

A więc przede wszystkim „prawo sezonu”. Składa się ono z dwóch zasadniczych punktów. Pierwszy to wykorzystanie produktów sezonowych; drugi — pójście po linii instynktownych gustów i upodobań, tak zwanego naturalnego pociągu do dań o specjalnym typie w zależności od sezonu.

Deser intensywny, pożywny z rodzaju cięższych, smakuje doskonale i zadowoli wytrawnego biesiadnika w sezonach zimnych. Natomiast w okresie zaawansowanej wiosny, lata i wczesnej, cieplej jeszcze jesieni każdy gastronomicznie kulturalny biesiadnik będzie czuł potrzebę zakończenia posiłku czemś wytwornie lekkim, odświeżającym, a w upały chłodzącym.

Dlatego też wszelkie gorące: szarlotka, budynie, buchty, wypiekane ryże i kaszki, tłuste pączki, grzanki, pierożki to skarbnica, z której czerpiemy chętnie zimą, sięgając w sezonie letnim po: świeże owoce, sałatki owocowe, kremy mrożone, galarety, lody, kisiele, ciastka owocowe i t. p.

A prawo doboru? Prawo doboru, to dziedzina, oparta nie tylko na wyszkoleniu i pomysłowości, ale i na finezyjnej intuicji.

Dobór deseru, scalenie go z jadalospisem w sposób stwarzający rodzaj arcydzieła, nie jest sprawą łatwą. Ta gospodyni, która posiada specjalny zmysł „deserowy”, może śmiało uważać się za jednostkę, wyposażoną w nieprzeciętną kulturę kulinarną.

A jak podawać desery? Odpowiednio, starannie, ozdobnie.

Zapiekane, gorące w tych samych naczyniach, w jakich przebywały w piecu. Ale... naczynia te muszą być nie „ogniotrwałymi”, blaszanymi półmiskami o poodskakiwanej polewie i brunatnych śladach niedomytych zapiekane; nie fajanso-

wemi półmiskami ze śladami kontaktu z ogniem i ranami poobtlukiwanych brzegów, a prawdziwymi ogniotrwałymi, estetycznymi naczyniami, których właściwym przeznaczeniem jest właśnie to, a nie inne.

Deser gorący, zapiekany, ustawia się po wyjęciu z pieca na tacy, aby krając z rąk do rąk (jeżeli nie jest obnoszony) nie zakłócił dobrego samopoczucia biesiadników swoją niebezpieczną temperaturą. Jeżeli obnosi go służba, trzyma gorące naczynie na ręce, izolowanej, złożonej kilkakrotnie serwetą.

Do gorących legumin podaje się talerzyki porcelanowe, lekko wygrzane, jak do innych dań gorących. Leguminy gorące, wykładane na półmiski, dobrze się czują na półmiskach okrągłych, są one bowiem bardziej „deserowe”, niż podłużne, lub owalne.

Do deserów zimnych i owoców nie wolno podawać talerzyków mytych naprędce (w braku odpowiedniej zmiany) ciepłą wodą i dla utrzymania tempa „na ciepło” wycieranych i podawanych.

Co do samego podawania deserów zimnych, to estetyka jest tutaj jeszcze bardziej wskazana, jak przy leguminach gorących. A więc: galarety najpiękniej wyglądają w kryształach, lub rżniętym szkle. Takie same talerzyki dadzą im wdzięku, uwydatnią ich przezroczystą, piękną barwę.

Kremy mrożone i lody, wyjmowane na półmiski z formy, wymagają specjalnego podania. Półmiski okrągłe, ozdobne, wysłane białą haftowaną serweteczką, na której ustawia się słodki lodowiec, aby przy zetknięciu z zabornością rąk ludzkich nie zmienił się w lodowiec wędrujący, albo co gorzej pozabawiony równowagi wobec niemożności utrzymania jej na śliskim podłożu porcelany.

Do lodów i kremów mrożonych podaje się ostry nóż - łopatkę, którym łatwo się dzieli. W ostateczności można podać duży nóż i łyżkę do dzielenia i nabierania. Talerzyki szklane, albo kryształowe.

Kompoty, sałatki ze świeżych owoców podaje się tylko w szkle, albo kryształach. Rozłożyste czary - salaterki do sałatek, głębokie do kompotów. Talerzyki obowiązują takie same i dosyć głębokie, aby sok mógł się na nich pomieścić.

Tort powinien być ułożony na specjalnym postumencie, wysłanym serwetką papierową o brzegach koronkowych. Musi być pokrajany przed ukazaniem się na stole jadalnym i podany w całości.

Nie dosyć jest jednak tort pokrajać. Trzeba go umieć pokrajać.

A więc: odznaczyć środek filiżan-



ką, spodeczkiem, albo najlepiej ostrą blaszaną foremką do wycinania okrągłych ciastek. Odnaczony krążek oddzielić od reszty tortu, puszczając pionowo nóż raz koło razu, po linii oznaczonej. Pozostały tort, okalający środek, podzielić na równe kawałki, szersze od brzegu, węższe ku środkowi. Krajanie tortu, bez uszkodzenia powierzchni, ułatwia maczanie noża w gorącej wodzie.

Zwyczajem, który nie może poszczycić się nowością, a jednak jak dotąd nie przez wszystkich jest uznany, jest podawanie do deserów wogóle deserowego widelczyka i deserowej łyżeczki. Odporni, wyzbyliby się napewno niezrozumiałej animozji do widelczyków, gdyby ich kto uwiecznił, kiedy, wyposażeni jedynie w łyżeczkę, polują na poszczególne kawałki deseru, albo owoce kompotowe, używając, jako broni, niewystarczającej w tym wypadku, łyżeczki. Zresztą trzeba tylko raz spróbować, aby ocenić wygodę i estetykę tej „widelcowej” mody, która doprawdy obowiązuje każde kulturalne nakrycie.

Ciastka, ten deser, idący po linii najmniejszego oporu, staną się trochę mniej szablonowe, jeżeli nie podamy ciastek mieszanych rozmaitych, a jednakowe np.: z owocami, z kremem, babeczki ponczowe. Trzeba je wyjąć z papierków, ułożyć na ozdobnym talerzu kryształowym, albo na okrągłym półmisku, wysłanym koronkową (papierową) serwetką, podać srebrne szczyptę do nakładania, podnosząc je z pomocą tej starannej oprawy do godności kwintnego deseru.

Podając owoce, ułożymy je w płaskiej czarze szklanej, albo srebrnym, czy platerowanym koszyku na podłożu liści: w zimie mahoniowych, w lecie dzikiego, lub szlachetnego wina. Powinny być umyte i ochłodzone przed podaniem. Owoce „ciepłe” jest wyborny tylko zerwany wprost z drzewa, kiedy jego wysoka temperatura jest skoncentrowaniem ciepła naturalnego, ciepła promieni słonecznych.

Do owoców obowiązują specjalne małe nożyki i widelczyki, pozatem serwetki papierowe, przez co unika się zniszczenia bielizny stołowej, trudno, albo i wcale nie wypierającami się plamami od soku owocowego. Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

KREMY I GALARETY.

Wobec zbliżającego się lata desery mrożone stają się coraz bardziej aktualne. Stosunkowo niedrogie, a wykwintne i smaczne są wszelkie kremy mrożone oraz galaretki owocowe.

Krem pralinowy. Proporcja: 25 dkg. migdałów słodkich, 25 dkg. cukru kryształu, albo pudru, 5 szklanki śmietanki słodkiej, cukru pudru do smaku, 10 listków białej żelatyny.

Sparzyć migdały. Obrąć ze skórek, wypłókać w zimnej wodzie, rozsypać na serwiecie, obsuszyć.

Wsypać cukier na patelnię bardzo czystą, suchą, pozbawioną wszelkich pozostałości tłuszczu. Postawić na łagodnym ogniu (najlepiej na zakrytej fajerce). Rozpuścić cukier, uważając, aby się nie przypalił, a tylko nabral ciemno-żółtego koloru. W ten karmel wrzucić migdały, zamieszać. Wylać na talerz, wysmarowany masłem deserowym, a gdy zastygnie, zdjąć, połamać na kawałki i utłuc w młynku.

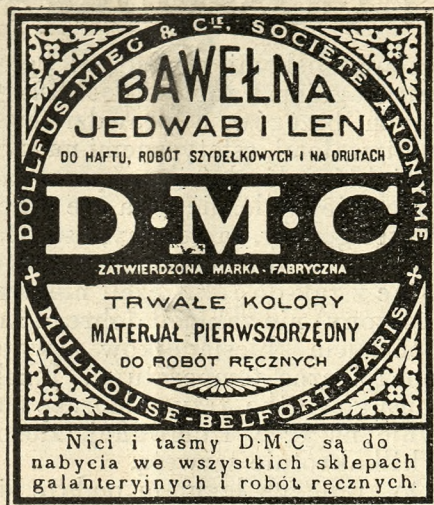
Ubić na lodzie śmietankę kremową, sypać stopniowo cukier mialki osiany i ubijać. Do gotowego kremu wlać 10 listków żelatyny, wymoczonej w zimnej wodzie i rozpuszczonej w możliwie najmniejszej ilości wrzątku. Szybko zamieszać, dodać tłuczony karmel z migdałami, pozostawiając go tyle, aby posypać krem po wierzchu, znów wymieszać. Złożyć do formy, wypłókaną zimną wodą i wyproszonej cukrem. Ustawić formę w lodzie. Zamrożony krem wyjąć na ozdobny okrągły półmisek, posypać po wierzchu tłuczonymi migdałami, rumienionymi, przybrać małą makaronikami.

Krem waniliowy. Proporcja: Szklanka śmietanki, 4 żółtka, 10 dkg. cukru pudru, 10 listków żelatyny, 2 szklanki słodkiej śmietanki kremowej.

Pokrajać wanilię w niewielkie kawałki, wrzucić do śmietanki, przykryć, zagotować na bardzo wolnym ogniu. Pozostawić przykrytą, aż do wystudzenia, poczem przecedzić przez gęste sitko.

Ubić do białości 4 żółtka z 10 dkg. cukru pudru, rozprowadzić śmietankę, podgrzewać na ogniu (najlepiej w kamienym garnuszku), ciągle mieszając, dopóki krem nie zrobi się gęsty. Nie gotować. Do gorącego kremu, po zdjęciu z ognia, włożyć 10 listków żelatyny wymoczonej w zimnej wodzie i doskonale odcisniętej. Zamieszać, przecedzić przez sitko, przykryć, aby się krem nie ściął po wierzchu w czasie stygnięcia.

Ubić na lodzie 2 szklanki słodkiej kremowej śmietanki. Z gotowym kremem wymieszać letnią zaprawę żółtkową. Ubijać, dopóki nie zacznie tężeć. Wówczas ułożyć krem w formie, wysypanej cukrem pudrem, zamrozić. Podawać ubrany biszkopikami i konfiturami, osączonymi z syropu.



Formę przed posypaniem cukru trzeba potrzymać chwilę obróconą dnem do góry nad parą.

Krem waniliowy w formie z biszkoptów. Odpowiedniej wielkości tortownicę wyłożyć drobnymi biszkoptami (podeszewkami), wypełnić kremem waniliowym, układając go, gdy tężeć zaczyna. Zamrozić. Można też wymieszać taki krem ze świeżymi drobnymi owocami (truskawki, maliny, bardzo dojrzałe poziomki ogrodowe), a będzie jeszcze smaczniejszy i wykwintniejszy. Po zamrożeniu otworzyć delikatnie tortownicę, zdjąć okalający ją pierścień, przyłożyć okrągły półmisek do powierzchni kremu i, przytrzymując palcami spód tortownicy, wywrócić ją do góry dnem. Przybrać krem po wierzchu konfiturami, albo pięknymi drobnymi owocami świeżymi.

Krem z kwaśnej śmietany zamrożony. Proporcja: 2 szklanki słodkiej śmietanki kremowej, 2 szklanki kwaśnej śmietany, 55 dkg. cukru pudru, 10 listków żelatyny, konfitury.

Zmieszać słodką śmietankę kremową i młodą wyborową, kremową kwaśną. Postawić na lodzie, a gdy doskonale zastygnie, ubijać, trzymając stale naczynie na lodzie. Gdy krem ubity, pudrować go mialkim cukrem przez sitko i dalej jeszcze ubijać. W przeddzień osączyć z syropu i obsuszyć lekko w ciepłym piecyku kilka łyżek konfitur z czarnych wisien drażnionych. Włożyć konfitury w gotowy krem, wlać żelatynę, wymoczoną w zimnej wodzie, odciniętą i rozpuszczoną w odrobinie wrzącej wody. Doskonale wymieszać, włożyć w puszkę od lodów, albo formę blaszaną. Zamrozić. Podawać na stół przybrany konfiturami z wisien, osączonymi z syropu.

Galaretki owocowe. Galaretkę można przyrządzać z soków owocowych smażonych, lub tłoczonych z owoców świeżych. Sok zazwyczaj zbyt intensywny wymaga rozcieńczenia, co robimy za pomocą lekkiego syropu, przygotowanego na podstawie cukru i wody. Syrop trzeba zagotować, wyszumować, doprawić do smaku sokiem owocowym. Można dodać też trochę soku wyciśniętego z cytryny, lub po-

marańcz, co jest szczególnie wskazane, jeżeli robimy galaretkę z soku smażonego.

W sezonach zimnych (jesień, zima) galaretkę tężeje łatwiej i wymaga mniejszej proporcji żelatyny, w lecie większej. Ogólnie przyjętą normą jest: 2 dkg. żelatyny w pierwszym, 3 dkg. w drugim wypadku.

Żelatynę przeznaczoną do galaretki trzeba umyć, namoczyć na kilka godzin przed użyciem w obfitej zimnej wodzie, przed rozpuszczeniem wyjąć z wody, doskonale odcisnąć i rozpuścić, zalewając niewielką ilością gorącej galaretki. Nie trzeba nigdy gotować soku z żelatyną, bo galaretkę będzie czuć klejem, a żelatynę rozpuszczoną wlewać do zaprawy przez gęste sitko, wymieszać z sokiem, wlać do formy, wypłókaną zimną wodą i nie wycieranej. Formę z galaretką ustawić w bardzo zimnej spiżarni, piwnicy, lub lodowni. W braku zimnej ubikacji wstawić ją w lód.

W lecie najlepiej jest przyrządzać galarety z dnia na dzień, inaczej łatwo można doczekać się przykrych niespodzianek, a mianowicie spostrzec się, że galareta, która ma już być wydana na stół, nie stężała. Natomiast w zimie zupełnie wystarczy przyrządzenie jej na kilka godzin przed podaniem.

Przed wyjęciem galarety trzeba obetrzeć formę ścierką (czystą), umoczoną w gorącej wodzie i lekko wyżytą. Ten zabieg wystarczy całkowicie do swobodnego wypuszczenia galarety z formy na półmisek, ma się rozumieć, jeżeli forma była doskonale wymyta i wolna od wszelkich zaschniętych pozostałości, do których galareta łatwo przywiera i urywa się w czasie wyjmowania.

Prześlicznie wyglądają galarety, zlewane w szklane, lub kryształowe naczynia. Wówczas jednak trzeba przestudzać je przed zlewaniem, aby szkło nie pękło pod wpływem wysokiej temperatury.

Do galaret bezbarwnych, lub jasnych, używa się żelatyny białej, do owocowych kolorowych, pół na pół białej i czerwonej (sama czerwona użyta w większej ilości daje zbyt ostry kolor).

Wytwornym i bardzo smacznym deserem są owoce kompotowe (z Wecka), albo owoce świeże, zalewane galaretką. Sposób przyrządzania galarety pozostaje ten sam, tylko zlewać ją trzeba stopniowo, to znaczy: nalać na salaterkę trochę galaretki, gdy zacznie się ścinać, ułożyć na niej owoce, znów zalać płynną galaretką, poczekać aż się lekko zetnie, dać następną warstwę owoców i tak postępować aż do wypełnienia całego naczynia. W ten sposób owoce nigdy nie spłyną do góry, a rozłożą się równomiernie po całej galarecie.

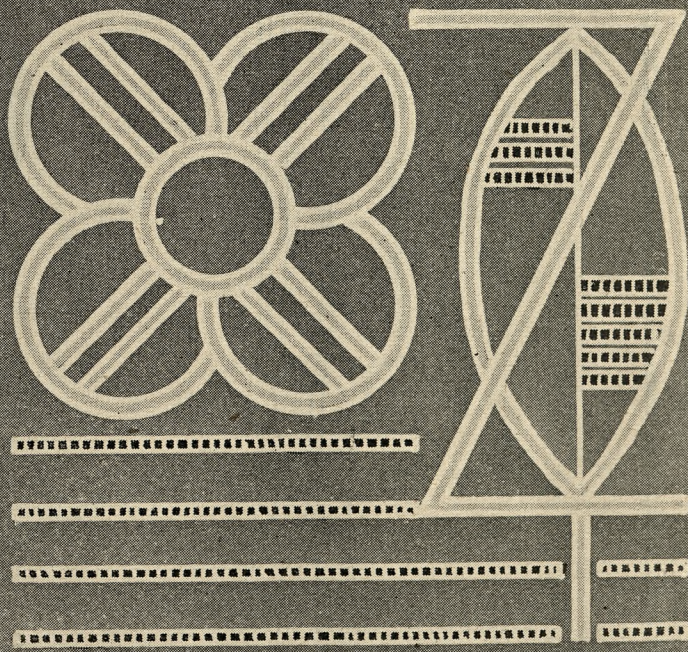
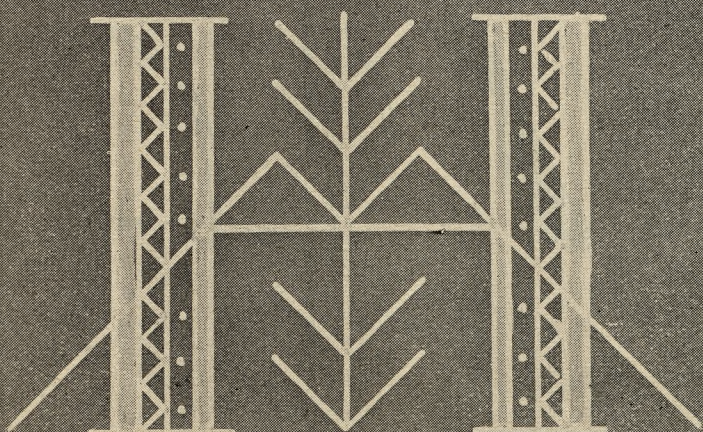
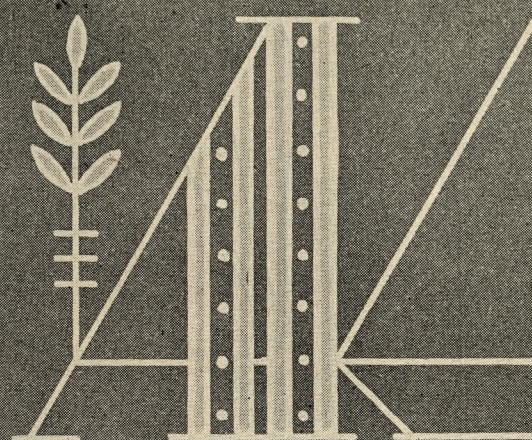
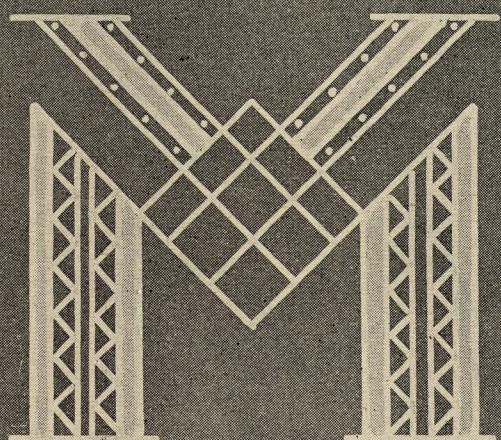
Galarety z owocami nie robi się w formie, gdyż trudno wychodzi i zwykle rozrywa się przy wyjmowaniu.

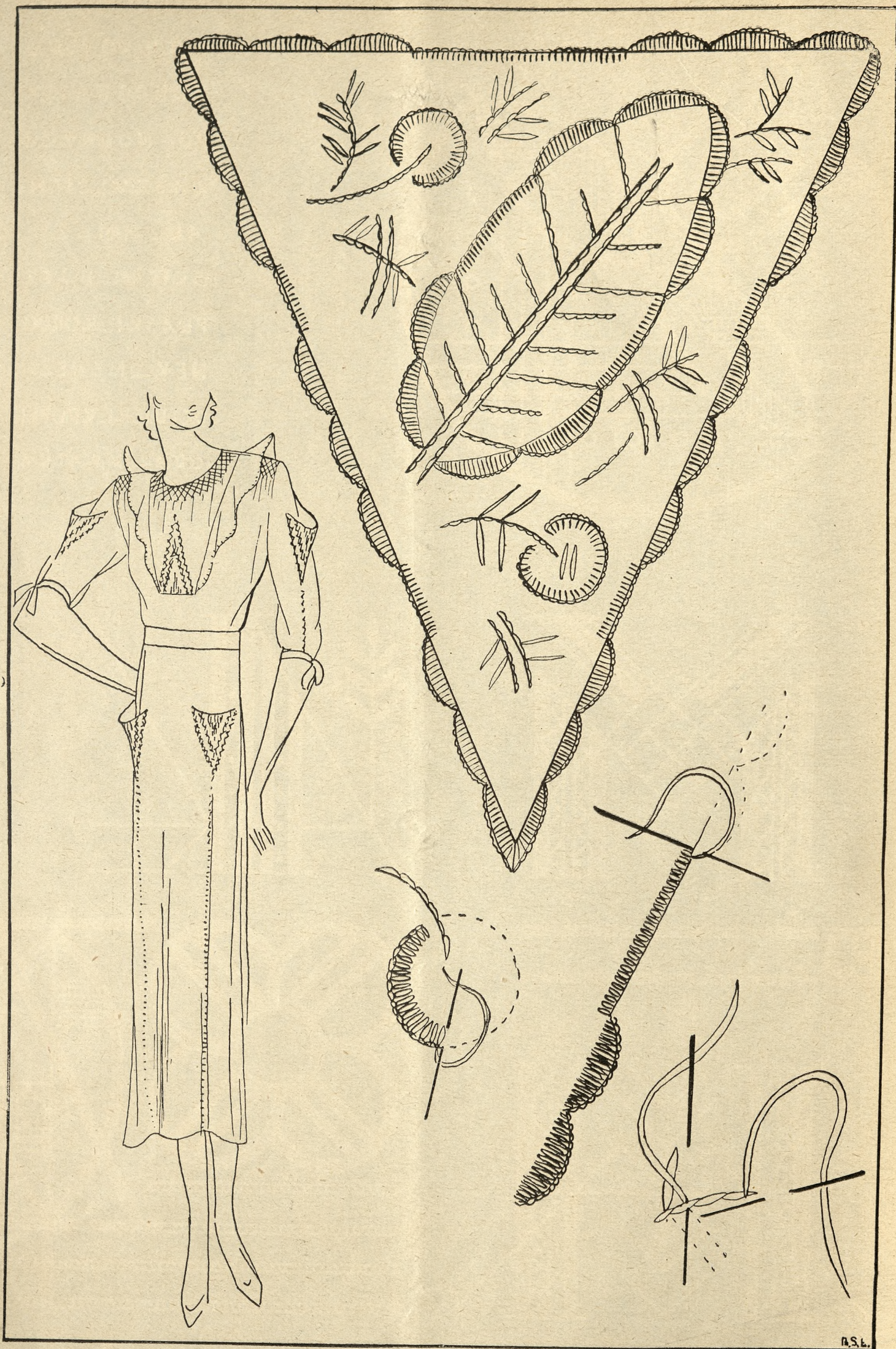
Systemem warstwowym, tak jak z owocami, robi się też galarety dwukolorowe: białą i różową, nalewając warstwę białą na warstwę różową, po stężeniu pierwszej.

Do galaretek można podawać lekkie niewielkie biszkopeciki, lub małe makaroniki.

Melba.

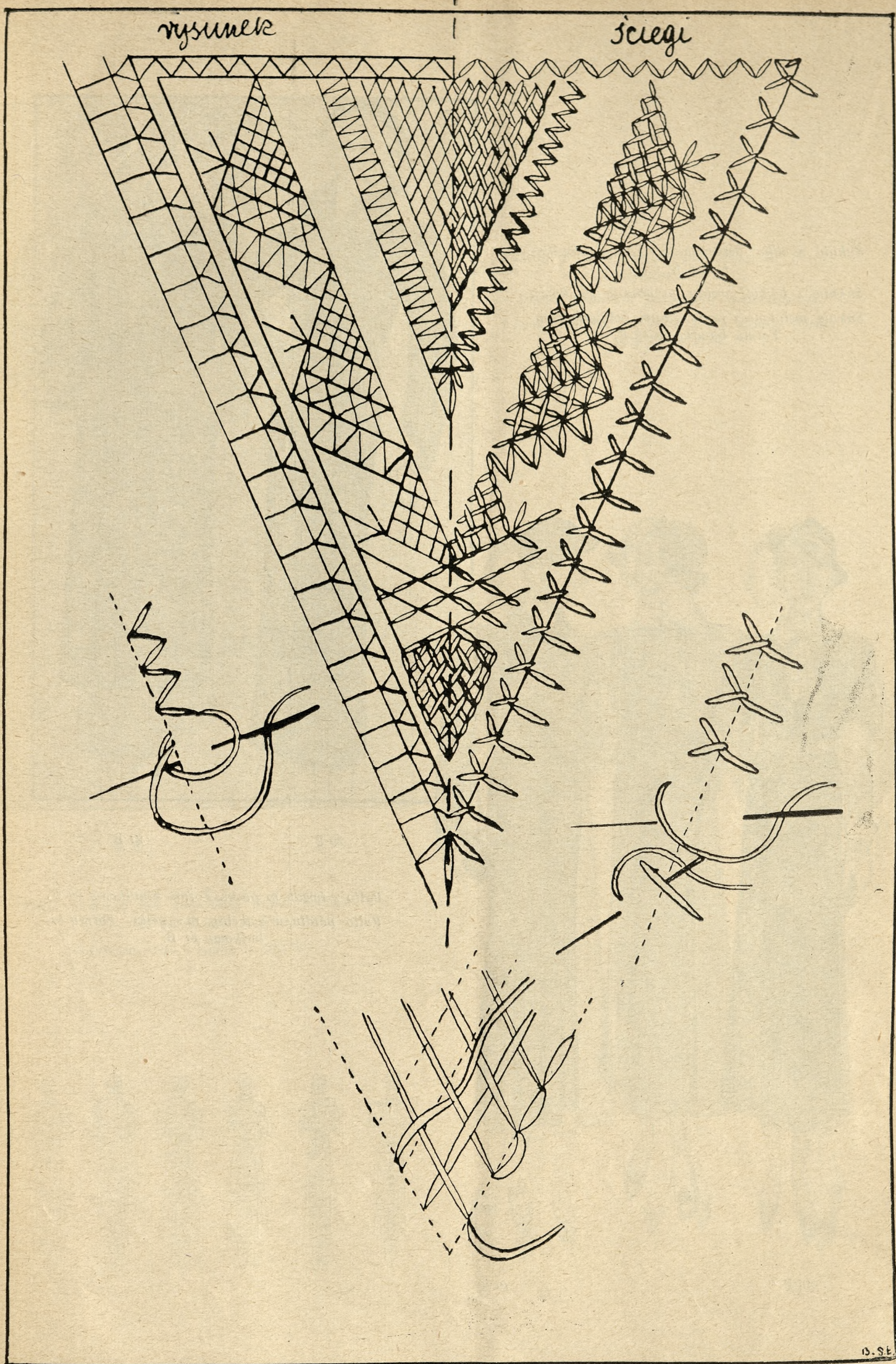
MOTYW DO NOC
NYCH KOSZUL
MONOGRAMY
DO NOCNYCH
KOSZUL-WM.
AK-HM-Z
ŚCIEGI-HAFT
PŁASKI-KORDO
NEK-MEREZKI
DZIURKI-KROPKI
ORAZ KRATKA





R.S.L.

Suknia z organdy ny haftowana jedwabiem zielonym, złotym i brązowym.

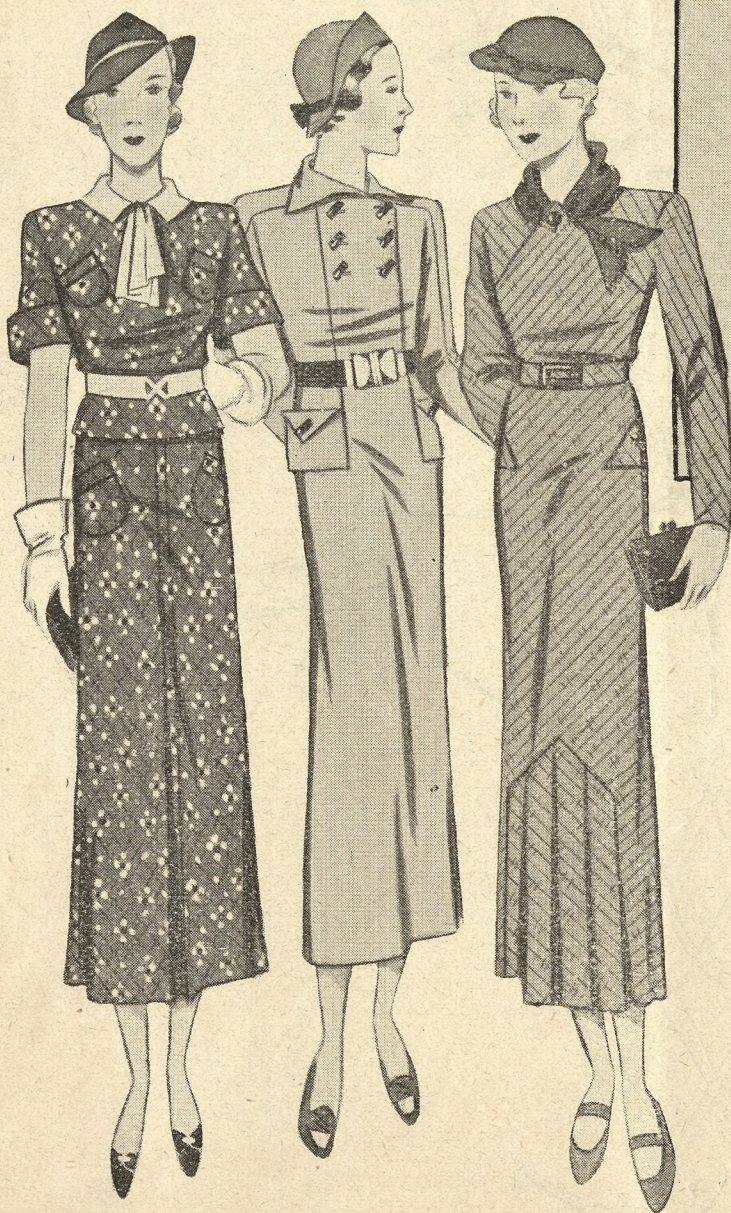


Drugi wzór haftu do sukni z organdy.

Suknia z silku deseniowego. Forma bibułkowa 18 B.

Suknia z lekkiej wełny przybrana guzikami.

Suknia wełniana z fantazyjnym kołnierzykiem. Forma bibułkowa 19 B.



18 B

19 B

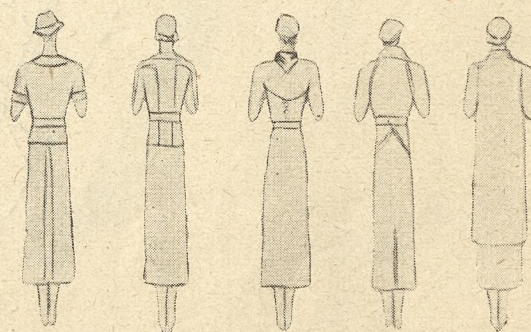


20 B

21 B

Palto z tweedu w paski. Forma bibułkowa 20 B.

Palto półdługie z wełny w supelki. Forma bibułkowa 21 B.

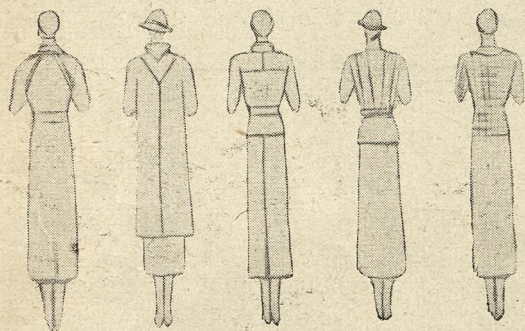




22 B

*Palto z wełny lub gabardyny impregnowanej
Forma bibułkowa 22 B.*

Półdługie palto z wełny w prążki.



*Suknia z lekkiej wełny lub eponge'u. Forma
bibułkowa 23 B.*

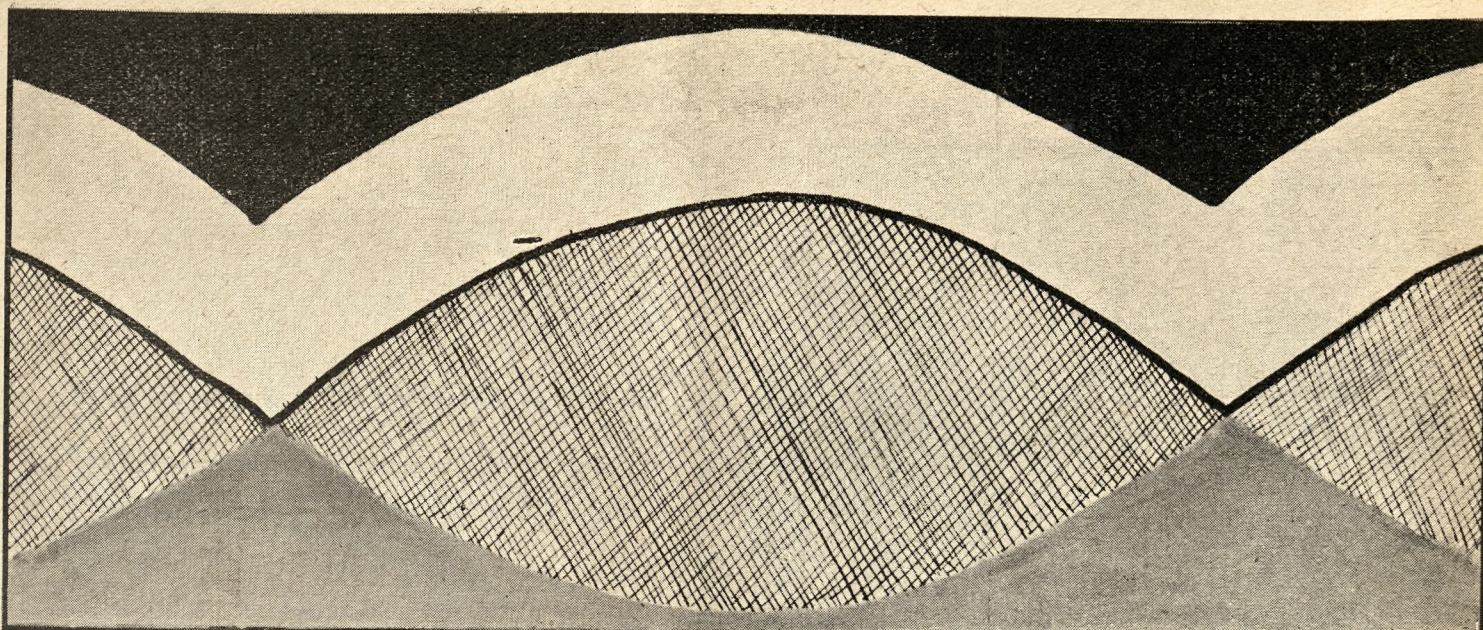
*Suknia wełniana przybrana stebnowaniem.
Ciemna spódnica i żakiecik w kratę. Forma
bibułkowa 24 B.*



23 B

24 B

DWIE KOMBINACJE JEDWABNE



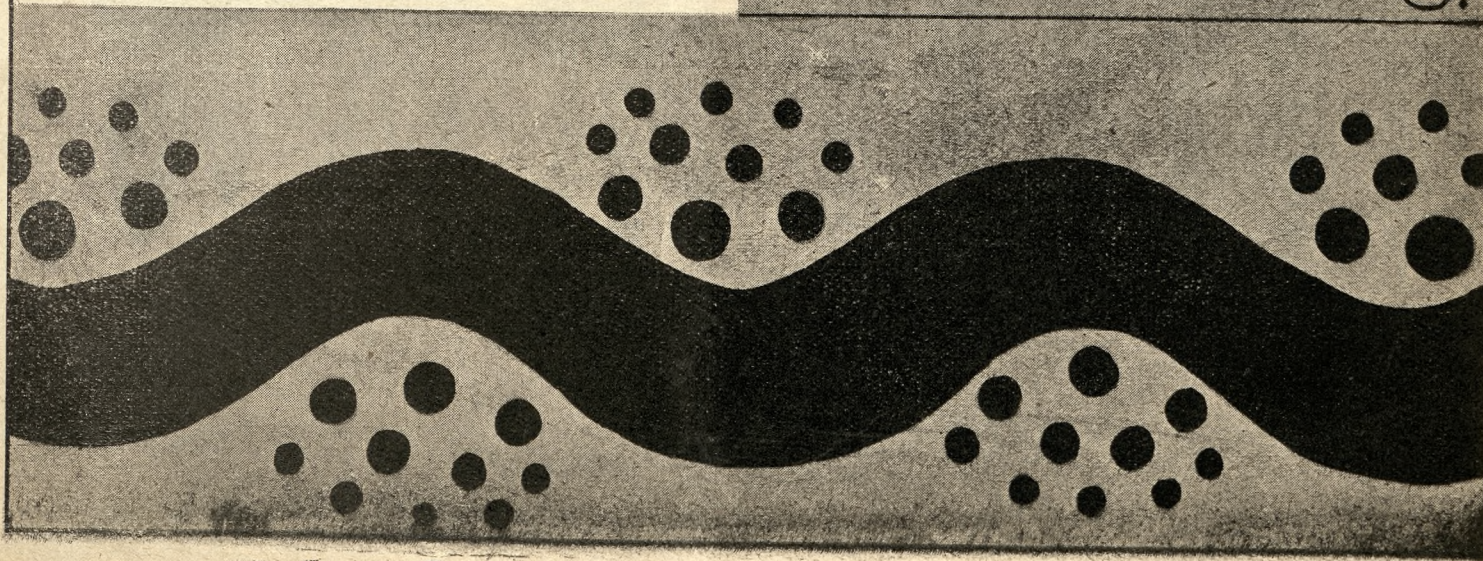
*Cytrynowa. Aplikacja czarna. Haft czarny atlas-
kiem jedwabnym do prania.*

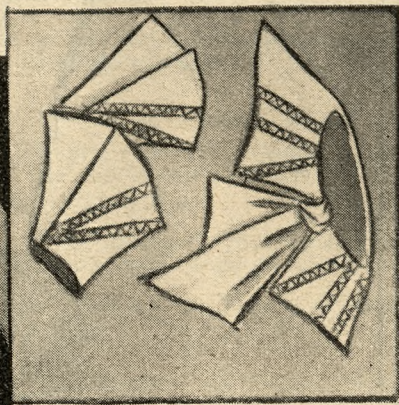
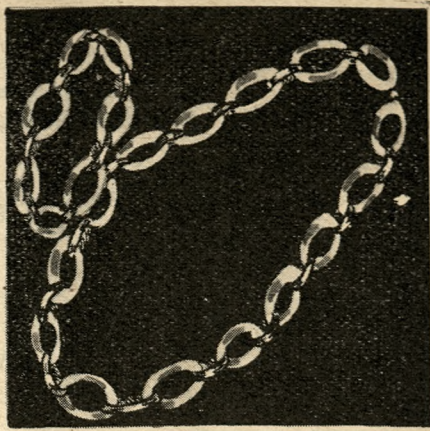
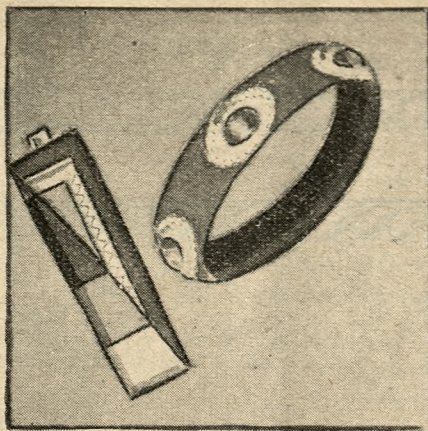
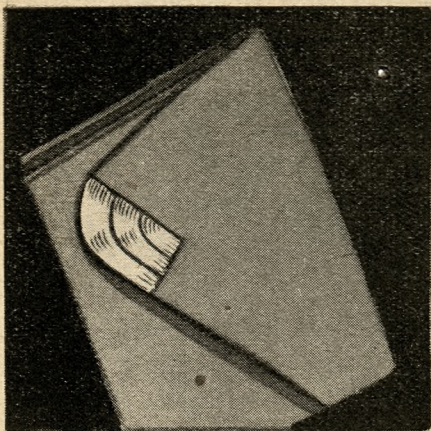


*Różowa, odpasowanie w zęby w kolorze blado-
różowym. Aplikacja z podwójnego czarnego tiulu
dana na aźur.*



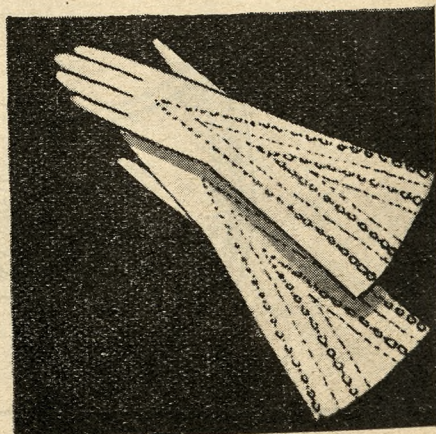
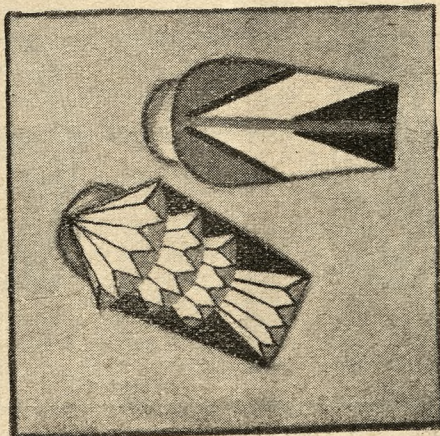
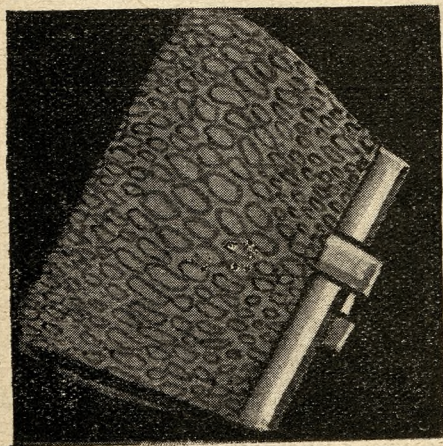
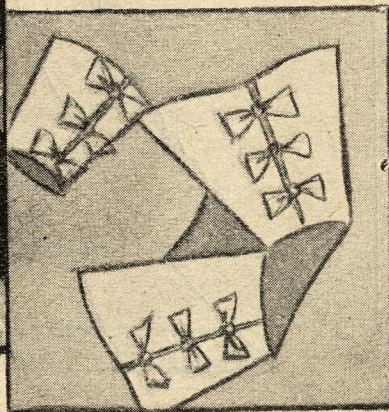
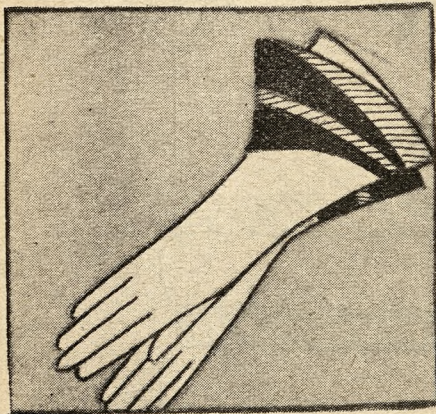
© H.

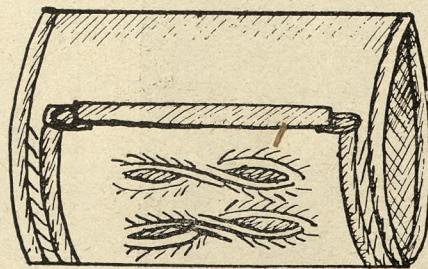
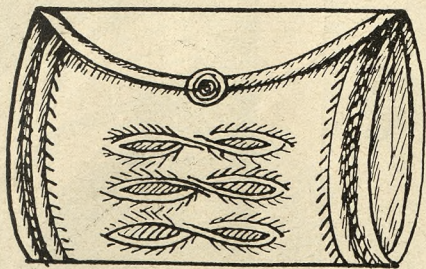
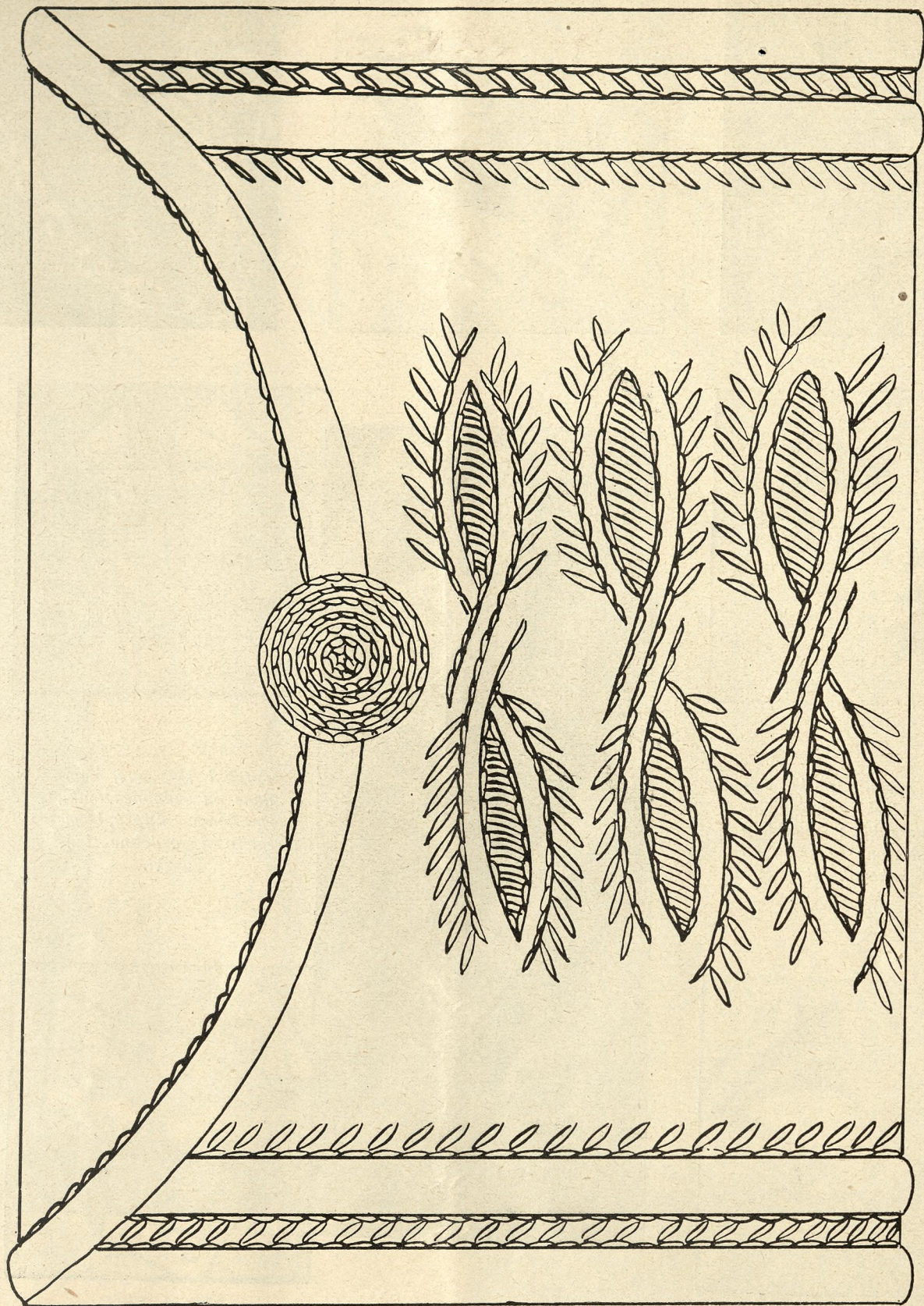




Modne drobiazgi: paski skórzane, rękawiczki z mankietami, kołnierzyki i mankiety z piki, ozdobione mureżkami lub kokardkami.

Torebki skórzane, zapinane na ozdobne zamki, emaljowane klipsy, bransolety i ozdobne łańcuszki.





Torebka z płótna ozdobiona haftem w kolorze pomarańczowym i czerwonym.

KRONIKA HARCERSKA

Ś. P. ADAM SKWARCZYŃSKI
A HARCERSTWO.

W żałobnych uroczystościach oddania ostatniej przysługi ś. p. Adamowi Skwarczyńskiemu, wzniosłemu i wnikliwemu ideologowi „nadchodzącej Polski”, wzięła udział delegacja Naczelnictwa oraz reprezentacyjna drużyna harcerzy ze sztandarem spowitym kirem.

Kondukt pogrzebowy prowadził wiceprzewodniczący Z. H. P. ks. kanclerz dr. Jan Mauersberger. Zaznaczyć należy, że ś. p. Adam Skwarczyński był rzecznikiem ścisłej współpracy organizacji młodzieży, na czele której stał p. n. „Straż Przednia” i „Związku Harcerstwa Polskiego”, którego wychowawcze znaczenie w Polsce najpełniej doceniał.

HARCERSKI OBÓZ PRACY.

Główna Kwatera Harcerzy w porozumieniu z właściwymi czynnikami przystąpiła do organizacji harcerskiego obozu pracy. Obóz będzie skupiał bezrobotnych harcerzy, których w Związku Harcerstwa Polskiego jest kilka tysięcy.

RADA NACZELNA I ZJAZD WALNY Z. H. P.

W dniu 15 b. m. odbył się w Warszawie Zjazd Naczelnej Rady Harcerskiej. Zjazd ten zajmował się projektem nowego Statutu Z. H. P.

W dniach 11 i 12 maja r. b. odbędzie się doroczny Zjazd Walny Z. H. P. w Wilnie. Obecnie Sekretarjat Generalny Z. H. P. kończy doroczną rejestrację instruktorów, zrzeszeń starszego harcerstwa, Kół Przyjaciół i t. p.

DONIOSŁA PRACA HARCERSTWA.

Druh Szymborski z ramienia Kierownictwa Harcerskich Drużyn Żeglarskich przy współpracy grona najpoważniejszych specjalistów danych dziedzin w Polsce kończy obecnie opracowywanie szczegółowego przewodnika po Wiśle, mającego charakter monograficzny. W związku z rozwijającym się coraz bardziej turystycznym ruchem żeglarskim w Polsce, konieczność ukazania się takiej publikacji wyczuwana była powszechnie. Pracę tę uznać należy za niezwykle doniosłą społecznie.

Z CENTRALNEGO ARCHIWUM HARCERSTWA.

Ostatnio Centralne Archiwum Harcerskie przy Naczelnictwie Z. H. P. wzbogacone zostało niezwykle cennymi materiałami historycznymi, odnoszącymi się do ruchu harcerskiego w czasie konspiracji rosyjskiej i okupacji niemieckiej.

Centralne Archiwum Harcerskie, pozostające pod fachowym kierownictwem, zwraca się tą drogą do osób, w posiadaniu których są materiały, odnoszące się do pracy harcerskiej, z prośbą o ich wypożycze-

WYTWÓRNIĄ FORM BIBUŁKOWYCH

TOW. WYD. „BLUSZCZ”

„Moja Krawcowa”

posiada na składzie formy bibułkowe wszystkich modeli zaopatrzonych numerem i literą podawanych w „BLUSZCZU”.

Dobra forma bibułkowa jest niewątpliwie podstawą każdej eleganckiej sukni, jeśli pani tę suknię szyje sama, lub przy pomocy domowej krawcowej, należy więc stanowczo przed skrojeniem sukni, palta czy kostjumu zamówić formę bibułkową. Zrobić to trzeba w następujący sposób: po wybraniu modelu porównać swoją miarę z jedną z podanych wielkości.

wielkość I gors (połowa) 44 cm., biodra 50 cm.

wielkość II gors (połowa) 48 cm., biodra 52 cm.

wielkość III gors (połowa) 56 cm., biodra 60 cm.

i na załączonej do wycięcia karcie, lub na zwykłej karcie pocztowej wypisać numer, i literę modelu oraz jego wielkość.

Ceny form bibułkowych są następujące:

kategoria I: suknie, palta, kostjумы, szlafroki, piżamy — zł. 1.50

kategoria II: spódnice, bluzki, bielizna, formy dzieciinne — zł. 1.—

Przesyłka pocztowa 30 gr.

Równocześnie z zamówieniem trzeba przesłać należność przekazem pocztowym lub na konto P. K. O. 170. Forma zostanie wysłana natychmiast po otrzymaniu należności.

Zamawiającym za pobraniem pocztowym dolicza się koszty przesyłki w sumie 1 zł. 35 gr.

UWAGA: Wytwórnia „Moja krawcowa” podejmuje się również wykonania form bibułkowych do dostarczonych modeli z innych pism w cenie 2 zł. 50 gr. za formę kateg. I i 2 zł. za kateg. II.

Do wytwórni form bibułkowych „Moja krawcowa”

ZAMÓWIENIE:

Proszę o dostarczenie podług adresu wskazanego na odwrocie następujących form bibułkowych:

Sztuk	Palto model	wielkość	cena zł. 1.50
„	Suknia model	wielkość	„ „ 1.50
„	Kostjum model	wielkość	„ „ 1.50
„	Szlafrok model	wielkość	„ „ 1.50
„	Piżama model	wielkość	„ „ 1.50
„	Bluzka model	wielkość	„ „ 1.—
„	Matinka model	wielkość	„ „ 1.—
„	Spódnica model	wielkość	„ „ 1.—
„	Bielizna damska model	wielkość	„ „ 1.—
„	Bielizna męska model	wielkość	„ „ 1.—
„	Forma dziecięca model	wielkość	„ „ 1.—

Ogólną sumę zamówienia zł. gr. ... wpłacam równocześnie na konto P. K. O. 170 — przesyłam przekazem pocztowym (niepotrzebne skreślić)

(podpis)

nie, względnie ofiarowanie. Archiwum mieści się w lokalu Naczelnictwa Z. H. P. Myśliwiecka 5/5 i czynne jest codziennie w godzinach od 18 — 20-tej.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

P. Janinie S. Przeciw piegom i opaleniznie radzimy używać Krem Precjoza, który radykalnie usuwa piegi i ciemne plamy. Jeżeli pani chce utrzymać białą cerę, to radzimy stosować pyłek Juvenia Candida i do mycia do wody dodawać płyn Abarid, który utrzymuje matową białość.

Zofji P. Twarz myć tylko otrybkami

Abaridowemi, a będzie zawsze gładka i czysta. Otrybki Abaridowe mają tę wyższość nad mydłem, że oczyszczają pory skóry, odtłuszczają ją i, stosowane jednocześnie z Kremem Abaridowym, zapobiegają tworzeniu się zmarszczek i nadają twarzy świeży i młodzieńczy wygląd.

Zmartwionej. Co do zmiany pudru, to możemy pani polecić puder Abaridowy, który, jako wyrabiany z roślinnych składników, jest zupełnie nieszkodliwy, przeciwnie — stosowany jednocześnie z Kremem Abarid — pomaga do wydelikatnienia i oczyszczenia skóry z różnych dolegliwości, jak błyszczenie, łuszczenie się i chropowatości naskórka.

M-me Ercèdes.

Hallo!

Redakcja pisma „Ja to zrobię”
oraz jego pracownia i wystawa
zostały przeniesione na ulicę
Świętokrzyską Nr. 17 I-e piętro

Hallo!

KARTA POCZTOWA

NADAWCA:

Nazwisko i imię

Adres

Znacek
za
20 gr.

Do
wytwórni
form bibułkowych
„MOJA KRAWCOWA”

Tow. Wyd. „BLUSZCZ”

Świętokrzyska 17 m. 3
WARSZAWA

Czytelniczki

nasze

*prosimy, by żądały
pism kobiecych we
wszystkich kawiarniach,
cukierniach,
restauracjach, czytelniach i t. d.*

*Najtańsza stosunkowo do
objętości, najobszerniejsza
(około 3.000 przepisów),
ponadto bogato ilustrowana*

M. MARCISZEWSKIEJ

DOSKONAŁA KUCHNIA

niezbędna dla każdej dobrej gospodyni

w futerale cena zł. 10.—

Przy wysyłce pocztą porta nie liczymy.

Wysyła Tow. Wydawn.
„BLUSZCZ”—Warszawa,
pl. Zamkowy 9 i Solec 87

Konto P.K.O. 13.555.